

WIEŚ

TYGÓDNIK SPOŁECZNY

Instytut Bałtycki
Bydgoszcz RACKI

Rok III

Łódź, 3 listopada 1946 r.

Biblioteka
CIV 9037 Nr 43

Tadeusz Papier

„EMIGRANCI”

Wojna i odbudowa

ZA CHLEBEM

W Łodzi jest dużo ludzi ze wsi. Przed dwoma laty nazywało się ich chłopami. Dziś trudno byłoby dać im taką nazwę. Chłopi ci weszli w nowe środowisko, pracują po fabrykach i ich interes klasowy jest inny niż dawniej.

Różne były motywy tych dobrowolnych przesiedleń. Maciej Czula, jeden z najstarszych dziś pisarzy chłopskich, świadek pracy Szarków, Stapińskich i Witosów, zaproszony przez ks. Stojałowskiego do miasta z ochotą opuszcza wieś, bo „oddawna pragnął innego, ludzkiego życia”. A czemuż to „ludzkie” życie różni się od wiejskiego? „Bo na wsi widziałem tylko nędzę i żur ze ziemniakami”.

Ten motyw wędrowki za chlebem jest chyba najważniejszy. Nie będziemy odwoływać się do najpiękniejszego dokumentu literackiego minionej epoki „Pamiętników chłopów”. Wystarczy przejechać się po zniszczonych powiatach przyczółka sandomierskiego. Wystarczy odwiedzić spaloną Stopnicę, Pieczonogi i Miel. Wystarczy odwiedzić późną jesienią chodzącego boso Kowalika w jego plecionej wikliną chałupie w Jastrzębcu. Albo widzieć jak ten człowiek zaprzęga się do norweskiego.

Takie warunki bytowania zmuszają do wyjazdu. Pożegnać się z ziemią nie jest tak łatwo, choćby z tą jałową i niewdzięczną. Lecz oto na ziemię tę pada pierwsze słowo otuchy: Zachód. I gdzieś w dalekiej Łodzi dymią kominy fabryk. Czarny dym, który idzie ku niebu, ma zapach chleba.

W NOWYM ŚWIECIE

Z gminy Tuczępy wyemigrowało, do Łodzi 50 rodzin. Inne gminy powiatu stopnickiego mają mniej lub więcej przedstawicieli. Można ich liczyć na setki osób. Są rozrzucone po fabrykach państwowych i prywatnych. Włókienniczych, szewskich, krawieckich, papierniach. Zajmują różne stanowiska, zwykłych robotników, praktykantów, pomocników, majstrów. Nieliczni nawet mają sklepy. Powodzi się im dobrze i źle. A kiedyś?

Smutna jest ta litanja nazwisk. Z Rudy wdowa Koręcka, której męża zabili Niemcy, biedna i liczna rodzina Wojtusiów, którym na gorszą jeszcze biedę piorun spalił chałupę, Olszeńscy bez ziemi, bracia Sochy z Podlesia, właściciele jednej morgi, Helena Skuzianka z Chałupek, siostry Trześniewscy z Grzymały, Agnieszka Kluźniak z Janiny i wiele, wiele innych. Każde nazwisko kryje jakąś historię, która tam, na miejscu wrzasałaby do łez może. Lecz tamto życie minęło. Dziś stają ci ludzie, wyrwani ze swej ziemi, wobec nowej rzeczywistości, nieznanej, obcej.

KLASA ROBOTNICZA

Mówi się o warstwie chłopskiej i klasie robotniczej. Dzielimy chłopów na klasy w zależności od posiadanych hektarów. Czy w klasie robotniczej nie istnieją podobne stopnie znaczeniowe, oparte co prawda na innych elementach? W drukarni metramparz rozkazuje swojemu pomocnikowi, zwykłemu składaczowi liter. Funkcje kalandrzysty, zecera maszynowego, zecera ręcznego nakłada się na ludzi posiadających odpowiednie przygotowanie fachowe. Ludzie na wsi rodzą się bogaczami lub biedakami. To jest istotna różnica między warstwą chłopską a robotniczą. Tu los, przypadek, a tam wysiłek, trud, nauka. I możliwość szybszego awansu.

Lecz tu i tam są biedacy. Są nawet tacy, o których wspominał Prus, że porę obicdną przesypiją pod parkanami.

OPOWIEŚĆ AGNIESZKI

Właśnie Agnieszka Kluźniak z Janiny, która podobnie jak wielu innych nie chciałaby już wrócić na wieś, należy do klasy robotniczej najbiedniejszej. W domu ich

było sześcioro dzieci na dziewięć mórg nie bardzo urodzajnej ziemi. Brat wyjechał najpierwszy. Osiadł koło Łodzi na roli. I ściągnął siostrę. Agnieszka pracuje teraz w jednej z łódzkich papierni. Wychodzi do pracy o 7-ej rano, wraca o godzinie 4-ej po południu. Mieszka jako sublokatorka przy pewnej rodzinie robotniczej. Zarabia nad wyraz skromnie — 3.200 zł. miesięcznie, otrzymuje prócz tego 0,5 litra mleka dziennie. Jeśli opłaci mieszkanie i życie, to co jej zostanie na inne niezbędne potrzeby? W jaki sposób kupi sobie ubranie? Kiedy pójdzie do kina? Czy przeczyta jakąś gazetę? W każdym razie w kinie Agnieszka jeszcze nie była. Ale na wieś nie wróci. Ma nadzieję, że „później będzie lepiej”. I tak to życie jest dla niej awansem w stosunku do poprzedniego. Ona ten awans widzi. Widzi możliwości lepszego zarobku, a więc zdobycia takiej podstawy materialnej, która pozwoli jej na poszerzenie zakresu swych potrzeb materialnych i kulturalnych, bez których teraz musi się obyć. Jej koleżanki ukazują te perspektywy: w fabryce włókienniczej tkacz zarobi na dwóch krosnach w przeciągu dwóch tygodni 2.500 zł., na czterech 3.700 zł. Trzeba tylko pracować.

SREDNIACY

„Gustawielemo Jano” — chłop z wsi wchodzi w środowisko robotnicze i zapomina o tym, czym był kiedyś. Nowa struktura społeczna w jakiej się obraca nakłada na niego swoje prawa, zwyczaje, każde myślenie kategoriami, które tu są ważne. Nic ze starym światem zrywa się i nie ma już nawet charakterystycznej dla emigrantów tęsknoty. Tęsknota rodzi się najczęściej w niedostatku i biedzie.

Stanisław Ślizankiewicz, chłop z Janiny pow. stopnickiego, dzielny, zapobiegliwy rolnik i szewc. Ma potrosze dar do wszystkich zawodów, jak zresztą przeważna część chłopów, którym szkołę dotąd zastępowało samouctwo. Potrafiłby zapewne rozebrać na części każdą maszynę ledwie raz widzianą i złożyć z powrotem. Przecież z zamkniętymi oczami rozbierał w swoim czasie karabin maszynowy. Zimą 1945 r. z dzieckiem i żoną opuszcza swoje 4 morgi ziemi. Przybywa do Łodzi i znajduje pracę w fabryce obuwia. Początkowo jako zwykły robotnik. Lecz dyrektor fabryki poznaje się na nim. Chłop jest zdolny, pracowity. Pisać umie jak niejeden urzędnik. Więc Ślizankiewicz przechodzi kolejno awanse, aż zostaje majstrom. Ma pod sobą ludzi i magazyn. Robotnicy darzą go zaufaniem. Zostaje sekretarzem rady zakładowej.

Jest mu teraz dobrze. Żona pracuje w zakładzie krawieckim i swoją pracą wnosi do domu lepsze wiano, niż tam na wsi. Nie tęskni za wsią. Przeciwnie, w tym pierwszym okresie zapału, skracają sobie urlopy. „Przykrzy mi się, bracie za miastem”. Chodzą do kina i teatru. Co wieczór na stole rozłożona gazeta. Córkę zapewne wychowują na dzielną kobietę.

Oto jest jeden z tych, którzy budują.

LISTY Z MIASTA

Czy za dziesięć lat te wszystkie popalone wsie powiatu stopnickiego będą się szczylić swoimi „współziomkami” z miasta? Jeśli odbudowa wsi iść będzie w parze z postępem technicznym, jeśli na wieś dotrze elektryczność, radio, książka, maszyna, spółdzielnia, wtedy znikną zapewne marzenia o „amerykańskich wujach”, o których dobrobycie ma świadczyć laskawy datek dla ubogiego kuzyna ze wsi. I cóż z tego. Cierpliwy i wytrzymały Józef Krala, syn chłopca tamtejszego, własną pracą dorobił się w Łodzi pięknego sklepu bławatnego, zdobył poważanie w kołach pracy, córki kształci na uniwersytecie. Jego brat na Zasadziu orze i sieje. Niewątpliwie,

skok olbrzymi. Łączność „bogatego” brata ze wsią leży w sferze sentymentu rodzinnego. Kiedyś i z tego zostanie tylko wspomnienie. Nic się zerwie. Ale w tej chwili po tak nagłym skoku (od pomocnika w gminie do wielkiego kupca) wciąż jeszcze nie schodzi z jego ust sakramentalny zwrot: „Ja chętnie widzę swoich współziomków”.

Ale mit we wsi długo pozostanie o tym, co pochodził z tych stron. Mit ten zachęci niejednego chłopca do wędrowki z paroma groszami w kieszeni w daleki świat.

Zresztą nie tylko ten wyjątkowy przykład działa. Wiadomości o rodzin, które wyjechały do miasta i tam założyły nowy dom, przykład nawet Agnieszki Kluźniak, są czynnikami, które wnoszą niepokój w dotychczasowe pojęcia wsi i zachęcają ludzi do wyjazdu.

KOMINY MÓWIĄ

Przeszło pięćdziesiąt lat i dwie wojny światowe dzieli nas od pierwszych strajków robotników łódzkich. Łódź wtedy już miała wielkie fabryki i znane nazwiska Scheiblerów i innych. Żyją jeszcze świadkowie tamtych dni. Śpiewano wtedy „Ludu robotczy poznaj swą siłę”, oparcia szukano w tajnych „Kasach oporu”. Ruch robotniczy dopiero się ujawniał. „Chcemy lepszych warunków życia”. „Więc zamiast jęczeć i cierpieć, łączmy się wszyscy pod jeden sztandar rewolucji społecznej, zniemy nikczemny porządek przy którym każda niedola gnębie tych właśnie, którzy swą ciężką pracą, stwarzają wszelkie bogactwa, a wyzyskiwaczy i ciemiężycieli nie tylko nie dotyka, lecz nawet ich wzbogaca”...

Były to dnie budzenia się świadomości klasowej, jak dziś dnie budzenia nowego świata. Ale wtedy po dwutygodniowym strajku kosztującym zabitych i aresztowanych otrzymują robotnicy w jednej fabryce skrócenie dnia roboczego o godzinę i podwyższenie płacy tygodniowej o 50 kopiejek, gdzie indziej robotnicy wywalczyli po trzech tygodniach strajku świeżą wodę do picia. To były rzeczywiście krople wody niosące ulgę w ciężkiej doli robotnika. I za te ulgi robotnik płacić musiał często życiem. Wspomnienia starych ludzi mówią o jakimś trudnym robotniku wydzierał kapitaliście swoje grosze. I pomyśleć, że dawniej uchodziło to za grzech.

Nic dziwnego, że „ziemia obiecana” stała się ziemią przeklętą. Dziś jeszcze potężniej dymią komin fabryk. I dziś nie ma dobrej wody w Łodzi. Jest jakaś biała, pełna węglanu wapnia. Lecz nie czarne dymy, nie komin zamieniają życie robotnika i chłopca w piekło, ale brak opieki społecznej, ciemne i wilgotne mieszkanie, ten system gospodarki, który rujnuje zdrowie i życie.

DLACZEGO „ZIEMIA OBIECANA”

Dawniej szli chłopcy do miasta „w pojedynkę”. Kogo głód zmusił lub inne nieszczęście. Szukać chleba nie oznaczało tego samego co szukać łota. To nie byli poszukiwacze kwiatów paproci. To byli wygnañcy ze swojej ojczyzny. Dziś również występuje to samo zjawisko przynusowości. Komu powodzi się lepiej, ten zostaje przy ziemi. Lecz coraz częściej dochodzi do głosu zamilowanie. Stanisław Imos ze Strzałkowa nie dlatego jest w Łodzi, że w domu było mu źle, lecz że podczas przynusowego uwięzienia w obozie pracy w Niemczech oglądał i widział techniczną wyższość nieprzyjaciela. Łódzcy robotnicy, wśród nich jest niejeden ze wsi, zakładając szyny pod tramwaj, rękami podnoszą ciężkie łuki żelaza i w rytmie liczenia dodają sobie sił. W Niemczech lub Francji ręce ludzkie zastępuje potężne ramię dwigni, robotnik kręci tylko kółkiem, mierzy, zestawia

Imosowi nieprzyjaciel nie tylko imponował swoją wyższością. On chce, żeby w kraju było jeszcze lepiej, jak zagranicą. Dlatego pracuje w fabryce.

Takich jak Imos liczy się na setki.

Chłopi, którzy przychodzą do Łodzi nie są zorganizowani społecznie lub politycznie. Dopiero w Łodzi wchodzi w organizację zawodowe, kulturalne, polityczne. Miasto ich przyjmuje. Dawniej ten robotnik musiał walczyć z miastem, dziś chłop nie jest rzucony na łaskę losu, wchodzi w życie zorganizowane, czuje nad sobą opiekę związków zawodowych, opiekę społeczną i zdrowotną. Dawniejsze wyrażanie pięścią właścicielowi fabryki zostało zastąpione przez wspólne narady techniczne dyrekcji, kierowników, majstrów, wykwalifikowanych robotników i przedstawicieli rady zakładowej.

DBAŁOŚĆ O CZŁOWIEKA

W tym wszystkim widać dbałość o człowieka. Oczywiście robotnicy, a przeważnie nasi chłopcy emigranci, mieszkają w dużej części w izbach zimnych i wilgotnych. Chodzą często w zniszczonych ubraniach. O rozrywkach kulturalnych też nie ma co tak wiele mówić. Rzadko odwiedzają świetlice robotnicze artyści i pisarze.

Ale pamiętajmy: od pierwszego strajku łódzkiego minęło przeszło pół wieku zanim robotnik zdobył prawo współzrządzenia fabryką. A już dziś zapowiada się utworzenie przy wielkich zakładach przemysłowych internatów - szkół, w których ma przebywać młodzież ze wsi i miasta. Tej młodzieży zapewni się wyżywienie, ubranie, obuwie, opał, kąpiel, książkę. W zamian żąda się tylko zapału do pracy i nauki. W ten sposób tworzyć się będzie nowego robotnika.

OBLICZENIA

Raporty z zakładów pracy wykazują, że w r. 1947 potrzeba będzie na Ziemiach Odzyskanych 60 tysięcy samych wykwalifikowanych robotników. To wzrastające zapotrzebowanie obejmie także fabryki łódzkie i w innych miastach. W tej chwili czeka na objęcie przez fachowców wielka liczba zakładów przemysłowo rolnych, tartaków, cegielni, betoniarni. Szybka odbudowa wsi zależy od uruchomienia właśnie tych gałęzi przemysłu pomocniczego. Czeka również na uruchomienie liczne przetwórczo owocowe i warzyw, krochmalnie, kiszarnie, płatkarnie, zakłady tak ważne dla życia gospodarczego wsi. Czeka na ręce robotnika węgiel, ruda, ropa naftowa, wszelkie bogactwa ziemi, wyhodowane przez chłopca i rosnące dziko: jeden powiat nowosądecki dostarczy może rocznie 500 wagonów lepszych owoców — malin, jeżyn, tzw. „działów” — wszak Niemcy podczas okupacji wywozili z tego terenu 50 wagonów owoców.

To wszystko czeka na robotnika, aby jak powiedział kiedyś wielki pisarz „urobić ręce po łokcie”. Kto dostarczy tych ludzi?

Oczywiście, wieś, lecz w sposób zorganizowany, nie dorywczy, przez szkoły rolnicze, przemysłowe, handlowe, przez wzrost inteligencji zawodowej, technicznej. Emigracja wsi do miasta, pionierska, dorywcza, Kralów, Ślizankiewiczów, Kluźniaków trwać będzie jeszcze lata. Jest ona zjawiskiem korzystnym: w naturalny sposób uświada nadmiar ludzi ze wsi i w ten sposób daje możliwość poprawy bytu tym, którzy zostają. Ta poprawa następuje. Przed wojną średnie gospodarstwo liczyło się od 4 — 5 ha. Dziś za średnie uważamy gospodarstwo o 7 ha ziemi. Świadczy również ta emigracja o przekształcaniu się państwa czysto rolniczego w przemysłowo-rolnicze. Nadchodzących przemian nie powstrzyma nikt, choć nikt nie wie, jak ten świat przez te przemiany będzie wyglądał

DM 571050

Władysław Blachut

JESZCZE O WIEJSKIEJ POCZTCIE

(Społeczno-gospodarcze znaczenie poczty w życiu wsi)

Już przed wojną Zygmunt Nowakowski w jednym ze swoich niedzielnych felietonów na łamach oślawionego „Il. Kuriera Codziennego” zabrał głos w sprawach pocztowych na wsi. Ograniczył się jednak wyłącznie do strony personalnej zagadnienia, zwracając uwagę ogółu społeczeństwa na niedostateczne zaopatrzenie tzw. agentów i posłańców pocztowych, a w szczególności na pozbawienie tej kategorii pracowników pocztowych przez reżim sanacyjny prawa do urlopu, na ich upośledzenie w stosunku do innych funkcjonariuszów państwowych.

Głos wybitnego w tym czasie publicysty odniósł zresztą niewielki sukces. Mimo znacznej przewagi dochodowości Poczty, jako przedsiębiorstwa państwowego wpłacającego corocznie na rzecz Skarbu Państwa od 10 — 25 milionów złotych czystego zysku, położenie materialne pracowników pocztowych przeznaczonych do obsługi ludności wiejskiej było z niezrozumiałych powodów nadzwyczaj marne (uposażenie od 40 — 100 zł. miesięcznie!) zakres uprawnień prawie żaden, za to ciężar ich obowiązków i granice odpowiedzialności rozbudowane bardzo szeroko i bezwzględnie.

Nadto agent obowiązany był (to utrzymało się do dziś) wynająć i oddać na cele Poczty odpowiedni — jak żądano — lokal, zabezpieczyć go przed włamaniem, opalać go w zimie i oświetlać i sprzątać oraz zaopatrzyć w niezbędne graty i przybory kancelaryjne np. papier, atrament itp. Na to wszystko otrzymywał pewien stały, niewielki dodatek (ryczałt miesięczny).

Nic też dziwnego, że w podobnych warunkach agent pocztowy zamiast obok nauczyciela kroczyć w szeregu pionierów i działaczy kulturalno-oświatowych czy społecznych na wsi, trzymał się kurczowo pańskiej lub plebańskiej klamki, z łaski dziedzica lub proboszcza otrzymywał kapryśną pomoc w deputatach żywnościowych i opałowych, a jedząc z pańskiej ręki niewiele dbał o interesy i potrzeby wiejskie na odcinku pocztowym. W tym czasie jedynie dwór, plebana, dobrze jeżeli jeszcze szkoła, otrzymywały listy stałe i punktualnie, a nadto dla nich nie było godzin urzędowych na wiejskiej poczcie, natomiast chłop, mimo dość znacznego zagęszczenia sieci pocztowej na wsi oraz zaprowadzenia przed samą wojną tzw. listonoszów wiejskich dla obsługi gromad i osiedli wiejskich, z urzędów pocztowych nie był w zupełności zadowolony.

Przed wszystkim godziny urzędowe w agencjach poczt. ustalone sztywno, bez liczenia się z życiem wsi, z sezonowymi zmianami tempa pracy na wsi i przestrzegane przez agenta rygorystycznie (od 8 do 15-ej) były dla chłopów w okresie letnim nadzwyczaj niedogodne. Również traktowanie chłopów lub kobiet wiejskich na poczcie dość często wiele pozostawiało do ży-

wienia. Po godzinie 15-tej agent za nic nie przyjął od babiny wiejskiej pakunku lub przekazu do syna w wojsku, na jej prośby i molestowania odprawiał ją często z drwinami i pośmiewaniem chłopskiej mowy od okienka, a już w żadnym wypadku bez specjalnej zapłaty nie wypełnił chłopu (niepotrzebnie zresztą skomplikowanego) druku pocztowego.

Pewną zmianę na korzyść wsi wprowadzili w tym układzie stosunków dopiero wspomniani wyżej listonosze wiejscy, jako rekrutujący się z pośród mieszkańców wsi i ze wsią ściśle związani pośrednicy między pocztą a chłopem. Okres ich działalności był jednak zbyt krótki, aby zachęcić i przyzwyczaić chłopów do korzystania z usług Poczty, aby spopularyzować wśród rzeszy chłopskiej czytelnictwo lub ideę składania oszczędności chłopskich w prowadzonych przez Poczcie działach Pocz. Kasy Oszczędności zamiast w pięknie malowanych ale łatwopalnych i dostępnych dla złodziei chłopskich skrzyniach.

Okres koszarnej okupacji niemieckiej rzecz jasna nie przyczynił się do ożywienia obrotów pocztowych między wsią a miastem z wyjątkiem krótkiego okresu, kiedy to Niemcy pozwolili wysyłać tzw. paczki żywnościowe i ułatwili w ten sposób chłopu spełnienie obowiązku pomocy wobec krewnych i znajomych w mieście. Na skutek mobilizacji ludności wiejskiej do robót w Niemczech wzrosła również okresowo wymiana cenzurowanych listów i kartek między Rzeszą a tzw. G. G., ale za to zamarł obrót pieniężny z braku transakcji handlowych i wygasło z braku polskich gazet czytelnictwo na wsi.

Z chwilą przedsięwzięcia okupanta Poczta jedna z pierwszych podjęta swą działalność i w ramach organizacji przedwojennej dość wcześnie przystąpiła do odbudowy swych urządzeń również na odcinku wiejskim.

Rola i znaczenie Poczty w rozwoju społeczno-gospodarczym Narodu i Państwa nie podlega dziś żadnej dyskusji, a ilość i częstotliwość obrotów pocztowo-telekomunikacyjnych, dokonywanych przez poszczególne grupy społeczne jest w rezultacie jednym z najlepszych wykładników kulturalnej, społecznej i gospodarczej aktywności społeczeństwa.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że wskaźnik obrotów pocztowo-telekomunikacyjnych, zarówno w Polsce międzywojennej jak obecnie, poruszany był i jest prawie wyłącznie impulsami, wypływającymi z działalności gospodarczej, społecznej czy kulturalnej zorganizowanych zresztą prawa publicznego oraz prywatnego, korporacji handlowych i przemysłowych, a wreszcie uświadomionych członków społeczeństwa, zamieszkujących miasta, względnie uprzemysłowione skupiska ludzkie.

Natomiast spokojna i zaciszna wieś, gdzie mieszka, żyje i pracuje przeszło 60% ludności polskiej, była i jest dla poczynań Poczty ustosunkowana dość obojętnie, a jej udział w obrotach pocztowo-telekomunikacyjnych jest, proporcjonalnie biorąc, zbyt mały. Jest to zresztą efekt dotychczasowego gospodarczego i kulturalnego upośledzenia wsi.

Dlatego też, doceniając rolę i znaczenie wsi w życiu Narodu i Państwa — przystąpiono dziś do rozbudowy od podstaw kultury i dobrobytu na wsi, tworząc specjalne instytucje kulturalne i gospodarcze, rządowe i prywatne, przeznaczone do prac twórczych, organizacyjnych i badawczych wyłącznie w tym kierunku. Najwyższe czynniki w Państwie przykładają dziś wielką wagę do możliwie szybkiego podciągnięcia wsi i jej mieszkańców na odpowiedni poziom społeczno-kulturalny i gospodarczy, gwarantujący należyty i harmonijny rozwój całego organizmu państwowego.

W tych zamierzeniach kulturalnych, społeczno-gospodarczych na odcinku wiejskim również Poczta ma ważne zadania do spełnienia. Dowodem znaczenia jakie przywiązuje Państwo do zagadnień łączności pocztowo-telekom. jest okoliczność powierzenia resortu pocztowego wybitnemu politykowi i działaczowi ludowemu, a równocześnie uczone-

mu pisarzowi i publicyście Dr. Józefowi Putkowi, a dowodem zainteresowania odpowiedzialnych za postęp gospodarzy i kulturalny wsi polityków i działaczy ludowych sprawami poczty na wsi jest zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Wsi” artykuł J. A. Króla, pt. „Na wiejskiej poczcie”, omawiający w sposób wnikliwy i wyczerpujący stosunki pocztowe na wsi. Autor w odróżnieniu od Nowakowskiego nie tylko bierze w obronę i żąda poprawy bytu agenta pocztowego, ale omawia samą istotę zagadnienia, tj. niepokojąco niski obrót przesyłek pocztowych między wsią a miastem, czego wyrazem jest m. in. ilość prenumerowanych (bo czytanych jest więcej, gdyż jedna gazeta wędruje z rąk do rąk) przez wieś czasopism i wobec znikomej dochodowości poczt wiejskich żąda, aby przez okres przejściowy miejscowa ludność dopomogła agentowi do przetrwania, odciążając w ten sposób Zarząd Poczty, który z handlowego wyłącznie punktu widzenia nie jest zainteresowany w utrzymaniu nierentownych placówek pocztowych na wsi.

Ten tok rozumowania uważam w zupełności za uzasadniony. Wydaje mi się bowiem, że w logicznej konsekwencji dźwignia wzywać polskiej wsi w niedalekiej już przyszłości nasilenie obrotów pocztowych między wsią a miastem wzrośnie w znakomite sposób. Uświadomiony politycznie i gospodarczo chłop będzie więcej czytał i pisał. Napisze nie tylko raz w roku list do syna w wojsku, ale również kartkę do Administracji czasopisma w mieście, zamówienie do pobliskiej spółdzielni, wyśle przekaz do syna w gimnazjum, a wreszcie spróbuje sobie przez pocztę próbki z nasionami. Powstawanie wykluczających pośrednictwo handlowe spółdzielni wiejskich i zakładów przetwórczych na wsi oraz stabilizacja stosunków gospodarczych i warunków bezpieczeństwa w Kraju zrodzi i rozszerzy konieczność porozumiewania się uświadomionych gospodarzy chłopów z szerszym światem i stworzy warunki obrotów kredytowych i oszczędnościowych za pośrednictwem poczty. Dlatego Poczta już dziś musi przygotować się do oczekujących ją w przyszłości i zadań na wsi, już dziś rozwinąć akcję w kierunku przyzwyczajania chłopów do korzystania z usług poczty i w żadnym wypadku nie powinna ograniczać zakresu swej działalności na wsi.

Do środków, za pomocą których Poczta może przejawiać swą ekspansję twórczą na odcinku wiejskim, należy zaliczyć przede wszystkim:

a) rozbudowę sieci pocztowo-telekomunikacyjnej w ośrodkach zamieszkałych przez ludność wiejską — oraz

b) zaprowadzenie tzw. listonoszów wiejskich przeznaczonych do obsługi pocztowej tych gmin czy gromad wiejskich, które położone są poza siedzibą placówek pocztowych. — Należy tu również w dalszej kolejności zaliczyć

c) odpowiednie dokształcanie i uświadczenie pracowników pocztowych w kierunku należytego zrozumienia przez nich roli i znaczenia poczty na wsi, oraz ich zadań i obowiązków względem klientów rekrutujących się spośród ludności wiejskiej.

Przystępując już przed wojną w 1939 r. do reorganizacji służby pocztowej na wsiach, — Poczta kierowała się w pierwszym rzędzie względami wyższej użyteczności publicznej, względami społeczno-państwowymi, pozostawiając sprawę rentowności nowotworzonych placówek pocztowo-telekomunikacyjnych na razie na boku. Nie wynika z tego jednak jakoby względy natury handlowej były w tej sprawie dla przedsiębiorstwa obojętne, chcąc tylko powiedzieć, że nie były one jedynie decydujące w chwili tworzenia nowych placówek na wsi, choć w perspektywie czasu musiały i muszą być poważnie brane w rachubę. Wydaje się bowiem rzeczą oczywistą, że tworząc te placówki na wsi w normalnych warunkach ułatwia się przyzwyczajanie chłopów do korzystania z usług Poczty i w ten sposób rozszerza się kadry odbiorców na przyszłość.

Przy tej dalekowzrocznej kalkulacji wybór siedziby nowej placówki pocztowo-telekomunikacyjnej jest rzeczą najważniejszą.

Nowe placówki pocztowe tworzyć należy przede wszystkim w większych osadach wiejskich, wykazujących bardziej ożywioną działalność gospodarczą, społeczną lub kulturalną, dalej w siedzibach gmin zbiorowych i central spółdzielczych Samopomocy Chłopskiej, wreszcie w miejscowościach podgórskich, klimatyczno-zdrojowych.

Nie trzeba podkreślać czym będzie posiadanie „własnych” placówek pocztowych w życiu takich osiedli wiejskich i jakie korzyści przyniesie z czasem dla całości gospodarstwa krajowego. Gospodarcze znaczenie poczty, telefonu i telegrafu w życiu zbiorowości ludzkich jest powszechnie znane i doceniane. Poczta jest łącznikiem i najlepszym, najpewniejszym pośrednikiem w wymianie myśli a nawet dóbr i usług ludzkich. O ile chodzi o wieś, to Poczta ułatwia mieszkańcom wsi wymianę handlową z miastem, a za pośrednictwem prasy umożliwia im zdobycie świeżych i dokładnych wiadomości o tym, co się dzieje na szerokim świecie, rozjaśniając w ten sposób horyzonty myślenia rzeszy chłopskich.

Placówka pocztowa w siedzibie na przykład Spółdzielni Rolniczo-Handlowej i Kredytowej, siedzibie Związku Samopomocy Chłopskiej w ogóle w ośrodku wybijającym się pod względem gospodarczym, to najlepsza rękojmia rozwoju tych instytucji, tak ważnych w gospodarczym życiu wsi, a nie obojętnej również dla handlowych kalkulacji Poczty, jako przedsiębiorstwa, obliczonego na masową konsumpcję jej usług.

Placówka p.-t. na wsi będzie jednak miała nie tylko gospodarcze zadanie do spełnienia. Powinna również odegrać znaczną rolę w społecznym i kulturalnym życiu wsi. Zależać to będzie w pierwszym rzędzie od warunków intelektualnych i nastawienia obywatelskiego kierownika danej placówki poczt., który powinien wczuć się w to, że jest nie tylko urzędnikiem, czyli przedstawicielem interesów i zadań przedsiębiorstwa pocztowego w tej czy innej miejscowości, ale również świadomym obywatelem, który w miarę wolnego czasu i sił powinien torować wśród rzeszy chłopskich drogę postępu, kultury i oświaty. Musi on nadto umieć odpowiednio podejść do nieufnego z natury chłopów, musi jasno i przystępnie zaznaczyć go z udogodnieniami jakie daje Poczta i na jakich warunkach, musi wreszcie osobistym wpływem przekonać go do korzystania z usług Poczty w najszerszym zakresie. Nie może zaś w żadnym wypadku pozwolić sobie na lekceważenie lub obrażenie honoru chłopskiego.

Specjalnie dodatnie wyniki przynieść może (obok nauczyciela) praca kierownika placówki pocztowej na wsi przy realizacji pięknego hasła radiofonizacji polskiej wsi, o ile zechce on zrozumieć istotę zagadnienia i nie ustosunkuje się do tego hasła obojętnie.

Tak pojęta praca kierownika placówki pocztowej położonej w ośrodku rolniczym wyda z pewnością również dla Poczty dodatnie owoce, gdyż zwiększając liczbę klientów korzystających z usług Poczty, tym samym zmieni na korzyść stosunek kosztów do wyników eksploatacyjnej pla-

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„K S I A Ż K A”
sierpień — wrzesień — 1946

POWIEŚĆ I NOWELA

ERENBURG

Upadek Paryża

zł. 300.—

K. BRANDYS

Miasto niepokonane

zł. 220.—

ST. OTWINOWSKI

Nagrodek

zł. 160.—

A. MAKARENKO

Poemat pedagogiczny

zł. 120.—

A. RUDNICKI

Wrzesień

zł. 35.—

Lato

zł. 120.—

Uśmiech żandarma

zł. 35.—

ARAGON

Niewola i wielkość Francuzów

„K S I A Ż K A”

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„K S I A Ż K A”
sierpień — wrzesień — 1946

EKONOMIA - FILOZOFIA

K. KAUSKY

Nauki ekonomiczne Karola Marksa

zł. 80.—

J. PLECHANOW

Materialistyczne pojmowanie dziejów

A. SZAFF

Pogadanki ekonomiczne wyd. II

zł. 26.—

K. MARKS i F. ENGELS

Materializm historyczny wyd. I

zł. 25.—

FR. ENGELS

Ludwik Feuerbach i zmierzch

klasycznej filozofii niemieckiej

wyd. II zł. 30.—

„K S I A Ż K A”

cówki i pozwoli uzyskać z czasem rentowność nawet deficytowej początkowo agencji pocztowej.

Chodzi jedynie o to, aby w akcji szkolenia personelu pocztowego na te zagadnienia zwracano należytą uwagę i wpajano je kandydatom do służby p.t. przy sposobności egzaminów zawodowych itp.

Zarząd Pocztowy powinien również zwracać z dotychczasowym systemem urzędowania na wsi. Sztynne godziny urzędowe, jednakże zimą i latem są w agencjach pocztowych nie do utrzymania, bo np. w okresie żniw są dla chłopów bardzo niedogodne. Rzecz jasna — trudno wymagać, aby agent pocztowy przez cały dzień był przywiązany do okienka pocztowego i oczekiwał tam niechętnych, jak dotąd, klientów wiejskich, ale można przecież godziny urzędowe w agencjach jakoś uelastycznić w ten sposób, żeby były dogodne dla chłopów, a równocześnie pozostawiały agentowi dużo wolnego czasu. W tej sprawie winna Poczta zasięgać zawsze opinii i stosować się do umiarkowanych życzeń miejscowych czynników społeczno-politycznych (Gminne Rady Narodowe).

Jako drugi środek usprawnienia służby pocztowej na wsi, wymieniłem wyżej za prowadzenie służby listonosza wiejskiego.

Listonosze wiejscy mają w myśl założenia zapelnąć te braki, jakie odczuwa wieś pod względem pocztowym. Oni mają spełniać na wsi nie tylko funkcje doręczycieli przesyłek pocztowych, ale również zastąpić wsi odległą placówkę pocztową, stanowiąc niejako ruchomą agencję pocztową, która codziennie lub co drugi dzień zbliża się do danej wsi, by umożliwić jej wymianę myśli ze światem.

Listonosz wiejski to nie tylko doręczyciel, ale również urzędnik pocztowy, który ułatwia szereg zawilich czynności, a jako łącznik między wsią a miastem ma poza tym do spełnienia również ważne zadania społeczne na wsi.

Przy tych założeniach — kierownicy placówek p.t., które stanowią punkty wyjścia dla listonoszy wiejskich, winni dolożyć wszelkich starań, aby odpowiednio dobranych listonoszy wiejskich wykształcić nie tylko na dobrych doręczycieli, ale również nauczyć ich umiejętności propagandy usług Poczty wśród mieszkańców wsi. Trzeba wykorzystać to, że listonosz wiejski jako pracownik państwowy budzi bez wątpienia większe zaufanie na wsi, niż dawny posłaniec gminny i powinien łatwiej jednać wśród mieszkańców wsi nowych klientów dla Poczty.

Postępując ściśle według zasad kalkulacji kupieckiej Zarząd przedsiębiorstwa „Polska Poczta, Telegraf i Telefon” mógłby zwinąć nierentowną na razie większość agencji p.t. i ograniczyć do minimum służbę listonosza wiejskiego. O ile tego nie czyni — to kieruje się również interesem ludności wiejskiej i przewidującą polityką jednania sobie na przyszłość nowych, szerokich kadr klienteli wśród mieszkańców uświadomionej politycznie i odrodzonej gospodarzo wsi polskiej.

Mieszkańcy wsi muszą jednak, jak już wspominałem wyżej i do czego nawiązuje w swym świetnym artykule J. A. Król — w tym martwym okresie przejściowym przyjąć Poczcie z pomocą. Pomoc ta powinna polegać przede wszystkim na dostarczeniu na cele poczty na wsi odpowiednich i tanich lokali biurowych oraz mieszkań dla agentów pocztowych a także na otoczenie rzucanych na wieś pracowników pocztowych z miasta pewną opieką w znaczeniu materialnym. Niech ten młody człowiek (zwłaszcza kobieta) z miasta nie czuje się na wsi obco i niech jak najprędzej zniknie ten brzydki zwyczaj, że za artykuły spożywcze żąda się od niego często więcej niż na jarmarku!

Pomoc ta będzie miała zresztą charakter czasowy, bo jestem pewny, że Minister Poczty i Tel. Dr. Putek, syn chłopski z Choczni, gdzie przed wojną stworzył agencję pocztową i który już zajął się losem tych upośledzonych pracowników pocztowych, wszedłszy raz na drogę wydatnej poprawy ich bytu, z drogi tej nie zjeździe. Równocześnie przez ureguowanie zagadnień pocztowych na wsi przyczyni się w dużej mierze do zmiany gospodarczego i kulturalnego oblicza polskiej wsi.

Władysław Błachut.

Władysław Dziubiela

WIECZORNE OPOWIEŚCI

Siedzieli przy świetle lampki naftowej. Twarze ożywione były, roześmiane, z zainteresowaniem śledzące tok rozmowy. Siedzieli w gęstym dymie papierosowym, gdzie kto zaczepił się mógł — na krzesłach, łóżku, ławce, stołkach. I rozmawiali.



rys. Tadeusz Zarzycki

Dzieliłi się spostrzeżeniami, krytykowali to i owo, tamtego i tego, do żywego śmiali się, prześmiewali się, skoro wzięli kogoś na żąb.

Powracali do czasów dawniejszych, opowiadali przeżycia swe i przygody z humorem, obrazowo, szeroko, barwnie. Nizali się opowieści, występowały wyraziście dawne, dziwne przeżycia, sprawy ciekawe na tle starych, tak niepodobnych do dzisiejszych czasów i stosunków — ujmowane z groteskowym komizmem, malujące z naiwnością patrzenia tamte rzeczy, z którymi osobiście miało się kiedyś do czynienia, przechwalał się chytryością, lisią przebiegłością. Siedziało tu osób kilkanaście, młodzi i starzy, wosaci i gołowi. Gospodyni domu umieszczała się przy samym piecu, na ławce. Człowiek w starszym już wieku, z siwymi włosami, z głową opuszczoną i zamysłoną, z twarzą pokrytą zmarszczkami, z błakającym się na niej, zagubionym uśmiechem — zgarbiony, siedział był na krześle, przy małym stoliku. To ojciec był owej kobiety... Mąż jej siedział między kilku innymi gospodarzami, sąsiadami swymi, którzy tu zeszli się na zwykłą wieczorną pogawędkę. Wesoly był i gadał dużo. Wesołość rozmowy przygaszona była tylko względem na chore dziecko, nieruchomie śpiące w kołysce, kołysanej od czasu do czasu wolnymi ruchami przez małego chłopczyka.

— Na co to dziecko chore? — spytał jeden z gospodarzy.

— Na zapalenie oskrzeli — odpowiedziała matka.

— Jeździliśmy z nim dzisiaj do doctora. Powiedziała, że trochę przypóźniemy się do niego udali. Jakby jeszcze tak z dzień dłużej, to by nic już nie poradził.

Jeden z zebranych tu gospodarzy, na kolanach trzymał gazetę. Przedtem odczytał był najnowsze wiadomości ze świata. Wszy-

scy wysłuchali nabożnie nie rozumiejąc istoty rzeczy. Komentowali na swój sposób, przekreślali opacznie fakty, przesadzali w własnych pojęciach zasłyszana treść. Wzdłuż nich z tego, co słyszeli, wybuch wojny groził lada dzień.

Stary dziadek zaczął mówić o swoich przeżyciach. Zabrali go kiedyś podwodą na wojnę.

— Przejeżdżaliśmy wtedy przez most na rzece Narwi — opowiadał. — Podwodów nabierało się bezliku, chyba z całej Polski. Furmanki wyjechały na most, rząd przy rządzie, wóz za wozem, konie prawie nałaziły na wozy, wszystko zbite, sftoczone!... Naraz z drugiej strony rzeki ukazało się wojsko. Jechały armaty, tabor w pośpiechu, w gorączce!.. Na nic nie bacząc wjeżdżały na most. Nie było możliwości, żeby podwozy zdołały się wycofać!... Poczęto most oczyszczać brutalnie, w nieludzki sposób! Wszystko co było na moście zepchnięto na obie strony w wodę!

Leciały w przepaść wozy, konie, ludziki! Uczyniły się w wodzie z tego wielkie stopy rumowia, grzechotów, grążyły się, zapadały, dusiły, rzucały w konwulsjach masy koni, ludzi! To było straszne — ścinało krew w żyłach, że działo się tak realnie, naocznie, zwyczajnie — zakończył.

— Czyż nie mogli zaczekać trochę — odezwał się któryś — aż furmani zjadą z mostu?

— Alboż im się rozchodziło o ludzi! Co dla nich znaczyło życie zwykłego narodu albo jego dobytek! Ucickali przed nieprzyjacielem, a wobec tego za nic się nie liczyło, co zaważało na drodze. Uratowałem się wtedy tym, że jeszcze nie wjechał na most...

— Gdy potem zdołałem się w nocy wymknąć wraz z koniem i wozem i wracałem do domu — ciągnął dalej — przejeżdżałem przez okolice, w których w przeddzień toczyły się walki. Jechałem właśnie przez nie- duży las sosnowy, zarządka porosły drzewami i krzewami. Front dopiero tędy przeszedł. Leżała tu masa trupów. Jadę sobie i tak mi jakoś zrobiło się dziwno na duszy, taki strach mię obleciał. Ani się wracać ani jechać dalej. Jadę a tu leży zaraz przy drodze oficer... Buty nowiusieńkie, prosto jak spod igły, tylko się ślnia... Rozglądam się — nigdzie żywego ducha! Myślę sobie, żeby tak zejść z fury i ściągnąć. Umarlemu nie po nich. Zatrzymałem konia! Ale odwagi nie mam! Iść czy nie iść! Stoję tak i myślę, nie decyduję się tak ani tak. Strach mi, że może być ktoś gdzie w ukryciu i uwidzieć! Kroku nie mogę zrobić naprzód. Do głowy mi idzie, że może oficer jeszcze nie umarł całkiem. Aż machnąłem ręką i odjechałem.

Ktoś inny na kanwie opowiedzianego przeżycia wystąpił z własną fantastyczną opowieścią co jakoby mieć miało miejsce w rzeczywistości.

— Po bitwie Austriaków z Ruskimi wsiadł sobie jeden człowiek na pobożowisko — wszystkimu chciał się przyjrzeć. Idzie sobie, idzie, ale słucha: zdaje mu się jakby posłyszał gdzieś jęk. Rozgląda się, i widzi, że porusza się niedaleko od niego jeden z żołnierzy, co leżeli tu pobiite na kupę, jak barany. Wydaje mu się jakby go żołnierz przywoływał do siebie. Podchodzi bliżej i widzi, że to Austriak. Leży we krwi cały ciężko ranny i jęczy tylko z bólu. Jak on podeszł, wtedy Austriak mówi mu, jak strasznie cierpi i prosi żeby go dobił, że już nie może znieść bólu! On tego nie chce zrobić. Wtedy żołnierz wyjmuje z kieszeni złoty zegarek i daje mu: że mu już nie jest potrzebny, że umrze niedługo. Tylko odszedł, a słyszy huk wystrzału za sobą. Ogląda się i widzi że to Austriak z leworweru się zastrzelił. Wrócił się, ale żołnierz nie żył już. Zabrał się i poszedł. Ale strzał posłyseli Austriaki. Nadbiegli, złapali zaraz chłopca, znaleźli przy nim zegarek, posądzi go, że to on zastrzelił żołnierza, a zegarek sam zabrał. Daremnie chłop tłumaczył się i surmitował jak mógł. Nic nie pomogło! Zabrali go ze sobą, postawili przed sąd, skazali na śmierć, na rozstrzelanie. Wyprowadzili w pole, oczy zawiązali chustką, ustawili się przed nim żeby strzelać. Chłop widzi że już się nie uratuje, że mu się życia zrobiło. Zaczyna wtedy modlić się do Matki Boskiej, że niewinien umierać musi. Jak on się tak modli wpada kula armatnia! Przeleciała kole niego, zdarła mu tylko chustkę z oczu, wszystkich żołnierzy wybiła co do nogi! Jego tylko ogłuszyła. Dopiero potem przychodzi do siebie, patrzy, rozgląda się, wkoło pusto, nie ma nic. Tam gdzie stali Austriacy tylko dół.

Tak oni sobie rozmawiali.

— „Wojna musi być — konkludowali. — Wojny były zawsze i będą! Za dużo ludzi jest na świecie! Za ciasno się zrobiło pa- nom! Wojna jest potrzebna!

I będzie: Żeby wybić z połowę narodu. Za dużo ludzi, a za mało dla nich pracy, pieniędzy, żywności!

Wojna musi być w interesie tych, którym jest dobrze, — inaczej nie czuli by się oni nadal pewni!

Wojny dla nich, — ludzi od kosi i pluga — były czymś nieuniknionym, z góry przesądzonym — i niezrozumiałym. Wchodziły w zakres rzeczywistości wyższego rodzaju. Oni byli zwykłymi prostymi ludźmi, lecz wszyscy bogacze, urzędnicy, „panowie” stanowili ową wyższą rzeczywistość, żyli swoim własnym życiem, swoimi pojęciami. Kierowali się własnym, skrajnym, egoistycznym interesem. Im wojny były potrzebne!... Wojna była rzeczą straszną, była okropnym kataklizmem — lecz była realnością, prawie prawem natury, jak realnością była rzeczywistość państw, rządów, wszystkich bogaczy, ciemięzców i wyzyskiwaczy!.. Ci wszyscy u góry żyli krwią i potem ludzi biednych, ludzi pracujących! Tak być musiało. Tego nic nie zmieni! Rządzą światem siły wyższe... Tymi siłami były zarówno, same urzędy, rządy, jak wojny! Tam u góry, cokolwiek się tylko robiło, robiło się dla siebie, dla własnego istnienia, dla własnej korzyści. Więc i wojny musiały im do czegoś służyć — była rozgrywka tam czysto wewnętrzna. Nie było sensu mówić o bezzasadności lub głupocie wojny, jako fackie samym w sobie, skoro same państwa, rządy, klany wywyższonych ludzi, były bez związku ze światem pracy.

I oddali się rozważaniom na temat wojny. Malowali ponury jej obraz, oplakane skutki, cierpienia, grozę i strach, jakie nisze. Przerzucili się do wspomnień...

Zygmunt Sierp

We wsi muzyka

Wesele jak wesele —
on starszy, ona młoda,
kto nie mieści się w izbie,
może w okna zaglądać.

A w izbie drzy podłoga,
lby podrzuca muzyka,
stary Wojciech oberkiem
w swoją młodość umyka.

Radość wisi u smyka,
cieniem bryzga na ścianę,
ludzie wzięli się w kupę,
nogi chodzą jak same.

Staków chłopak jest w drużbach,
rozmilował się w druhnach,
miłość pachnie oberkiem —
taka zwinna i pulchna.

Noc nasiąka muzyką,
radość ciałem się wspina,
szczęście pierś wyrosło —
noc jej stanik rozpina.

Można w okna zaglądać
stojąc tyłem do nocy —
w oczy nabrać wesela,
które wsią się rozwlóczy.

Włodzimierz Wnuk

ZIEMIA W GUSEN JĘCZAŁA

W nocy, gdzieś około godziny 3-ej, sakramentalne „Aufstehen” zrzuciło nas z piętrowych łózek. Na pół przytomni, przywaleni jeszcze kamiennym ściem, zeskakiwaliśmy na podłogę jeden po drugim. Za chwilę ciepkie „Ausziehen” ściągnęło z nas ciepłe nagrzane ciało koszule.

Krzyżując ręce na piersiach i ścisnąjąc ramiona dłońmi, jakbyśmy chcieli gwałtem zastrzymać odlatujące ciepło, patrzyliśmy w przerażającą ciemność milcząca za oknami. „Alles rraaus!”

W przeciągu minuty blisko 300-tu golasów, wyrwanych codopiero z łózek, miało znaleźć się na dworze.

A na dworze — NOC. Ciemna i zimna. Pusta i goła.

Gwiazd wtedy nie było. Jak na złość.

Stałszy, a raczej kołczeli i dygotali przed swoim blokiem długi czas, trzeba było bo wiem poczekać, aż dwadzieścia kilka bloków pozostałych ustawi się na dworze podobnie jak i my.

„Raus! Alles rraus! Vor der Baracke antreten! los! los!!!” — krzyki blokowych, szubrowych i kapów rozlegały się po całym obozie, zagłuszone potężnym tupotem tysięcy bosych stóp.

Ziemia dudniała. Wygnani z ciepła ludzie, okryci jeno własną, skostniałą skórą, bili stopami o twardey grunt — wściekle, furiacko. W smugach światła, lejącego się z okien baraku, zamieniał się w jakieś opętane, różowe widma, podrygujące w ciemnościach.

Powoli zaczynało szarzeć. Z nadchodzącym światem spływały na nas mgły. Mleczne, miazmaty zimnica. I choć to była noc sierpniowa, marzliśmy okrutnie. Mglisty i chłodny ranek tyrolski dawał się nam, nagim w mgłach, dobrze we znaki.

Nareszcie dano rozkaz wymarszu. Ruszyliśmy w kierunku placu. Na przodzie blokowy — on, oczywiście w koszulce i sportowych spodenkach. A my, w trzydziestu rzedach, po sobie następujących, za nim. My upioma brygada z zaświatów!

Licznymi uliczkami, prowadzącymi na plac apelowy, maszerowały jednocześnie różne bloki. Z tłumaków sino - młecznej mgły wylaniały się, to tu to tam, kolumny nagich potępięńców. Dzwoniąc zębami, parszając i prychnając, bijąc się nieustannie po udach i piersiach — wyurzałi się z białawych czeluści ludzich — widma... Gromady samobieżników, odprawiających o świtanu furiacki taniec białej śmierci... Bandy zmartwychwstałych kościotrupów, odzianych cielistą powłoką ludzka, prowadzone na arenę piekieł. Na ich czele opaśli Belzebubi, nie mogący pomieścić brzuchów w czerwonych spodenkach gimnastycznych.

Ziemia w Gusen jęczała. Tak bili w nią, tak ją masakrowali tupotem kościastych nóg ludzich, nadzy o świtanu.

Z głuchym stękanieniem ziemi zlewał się hucający jęk człowieczy. Jęk siedmiu tysięcy ludzi. Jęk bezkrwistych i bezsilnych stworzeń, wygnanych nocą, wygnanych nago, wygnanych na morze lodowatych mgieł.

Stajęliśmy wreszcie wszyscy na placu. Każdy blok, jak zwykle, ustawił się na swoim miejscu. Siedem tysięcy „Häftlingów” równało jak zwykle, w długich, nienagannie wyciąganych rzedach. Blokowi, jak zwykle, obchodzili swoje owieczki kontrolując, czy „alles in Ordnung”. I wszystko było jak zwykle, z wyjątkiem tego, że byliśmy nadzy. I, że zamiast 6-tej była godzina 4-ta rano.

Koło 5-tej pojawili się wachmani. Oglądali nas z nieustającą satysfakcją i tak, tak bardzo duszy germańskiej właściwą ciekawością odczuwaną na widok eksperymentu i jego skutków. Eksperymentu bądź co bądź oryginalnego, swobodnego, przeprowadzonego na żywym materiale ludzkim.

Mielśmy krótką chwilę zadowolenia, kiedy wachmani kazali blokowym natychmiast zdjąć spodenki i koszulki i odnieść do bloków. Przynajmniej raz jeden, jedyny, wiecznie uprzywilejowani nasi władcy zostali z nami zrównani.

Nareszcie przyszli ci, z powodu których wygnano nas z baraków. Gdzieś około 6-ej zjawiała się grupka cywilów, zaopatrzonych w różne paczki gaśnicze, rozpylacze i inne podobne przyrządy. Ludzie ubrani po cywilnemu robili na nas zawsze niezwykle wrażenie, przypominając nam o innym, lepszym świecie. Wtedy jednak wrażenie to było wielokrotnie spotęgowane. Obok nas bowiem, stojących nago od nocy, zjawili się naraz ludzie normalnie ubrani, wyciągnęci co dopiero z ciepłych łózek...

Nie wiem, co sobie owi cywile, patrząc na nas, myśleli. Coś jednak myśleć musieli, jako że kierownictwo obozu, wpuszczając ich do środka, (poza tym jednym wypadkiem nie widziałem nigdy cywila wewnątrz obozu) nie było w stanie odebrać im zdolności myślenia.

Otoczeni scharführerami, rozpoczęli cywile gazować bloki, czas bowiem najwyższy wyjaśnić, że powodem naszej stójki na goło była konieczność... odswieżenia baraków łącznie z ubraniami i bielizną więźniów. Po uprzednim uszczelnieniu drzwi i okien, co zajęło sporo

czasu, cywile wypełnili bloki gazem, bynajmniej się z tym nie śpiesząc.

A myśmy stali. Już dawno powinno było wzejść słońce, ale właśnie ranka tego niebo — cudowne zazwyczaj niebo tyrolskie — było zachmurzone.

O słońce, słońce... jakże wyczekiwaliśmy ciebie w owych nieszczęsnych godzinach. Chyba nikt nigdy, jak wszechświat wszechświatem, nie pragnął ujrzeć twego oblicza z taką niecierpliwością, z takim utęsknieniem. Żadne ciało ziemskie, czy astralne nie skomliło nigdy o twoje promienie tak, jak skomlały ubiegłone ciała ludzkie na placu gusenowskim.

Aż wreszcie — była może godzina ósma — przedarło się przez obłoki.

Cieszyliśmy się jak dzieci, obdarzone najcudowniejszym z darów.

Z przemarzłych aż do granic bólu piersi rwało się ku złotej tarczy na bladym błękitnie pozdrowienia skazańcowi

Ave sol! Morituri te salutant...

Witaj słońce! Mający umrzeć pozdrawiają cie...

Siedem tysięcy sinych i szarych postaci przeobklekało się naraz w skórę żółto-różową. A raczej w jakiś tajemniczo jasny brąz z różowym odbłaskiem.

Siedem tysięcy sinych i szarych twarzy zajaśniało nagle uśmiechem pełnym nadziei.

I choć ubogie w ciepło były te pierwsze promienie słoneczne, poczulaliśmy się bezpieczni, uratowani. Zdało nam się, że jesteśmy już po drugiej stronie rzeki mgieł i ciemności, że zostawiliśmy już za sobą krainę mroźnych oparów...

Zacząło się robić raźniej. Słońce, co prawda chowało się co chwila za chmury, ale nie na długo, sama świadomość tego, że za minut parę znowu zajaśnieje, łagodziła zimno i ogrzewała nas niejako na conto boskiego długu. Zimno topniało i jednocześnie topniała karność na placu.

Zarówno wachmanom, jak i blokowym odechciało się już stać na straży golasów, ze strony których nie groziła w tych warunkach żadna próba buntu czy ucieczki. To też powoli, bractwo poczyniło wychodzić z szeregow, rozlaźnić się na wszystkie strony, gonić dla rozgrzewki tam i z powrotem, brać się na barana, skakać przez siebie i w ogóle robić co się komu podobało. Lepiej odżywni i mocniejsi urządzali międzynarodowe wyścigi na 50 lub 100 metrów, względnie biegi przez płotki. Za płotki służyli koledzy, zgięci w pół i ustawieni jeden za drugim — trzeba było w biegu przez nich okrzakiem przeskoczyć i zdążyć pierwszemu do mety. Byli i tacy, co chodzili na głowach.

Słońce jednak było najwspanialszym z darów, jakie mogliśmy wówczas otrzymać, zdawało się ono przekreślać złotymi liniami gorącego blasku wszystkie nasze zmartwienia i braki, całą gehennę minionej nocy. Pławiłiśmy się przeto w tym nowym, słonecznym świetle, otrząsając z siebie resztki kosmaru, zrzucając z ramion, piersi, brzucha, pleców i nóg ostatnie poacie zimna.

Nagle... głowy nasze, jakby za pociągnięcia sznurka, zwróciły się w północną stronę obozu. Wstrzymaliśmy oddechy. Nastąpiła cisza.

Z głębi obozu szła procesja. Ulicą, wiodącą między barakami, posuwał się w naszym kierunku dziwny pochód. Czy to sen, czy jaw? Sunęły ku nam białe, przeraźliwie białe widziadła. Nie widzieliśmy początkowo nic tylko żywe, poruszające się białe plamy. Na tle ciemno brązowych baraków i zielonych trawników, białeść ta była zatrważająca.

Widma szły. W ciszy, wypełnionej grozą, zbliżały się ku nam krok za krokiem. Białe prześcierała, okrywające niewidome nam kształty, wlokły się na plac wolno, ociężale, pośpieźnie.

Widma szły... Prześcierała szumiały omentarnym szelestem. Spod białych całunów wierziała kościaste, żółte kończyny. Wiatr, rozwiewający płachty, odsłaniał zapadłe kotłiny brzuchów i wysunięte naprzód wiązania żeber. W ponurej aureoli płócien, płynęły ku nam twarze, na widok których chciało się mimowoli uczynić znak krzyża i wyszeptać: „W Imię Ojca i Syna...”. Żywe twarze umarłych.

— Patrzcie. Przecież to rewier! — wyszeptał czyjś głos. Istotnie, to byli chorzy z rewiery*). Zapomnieliśmy o nich zupełnie, a raczej na myśl nam nie przyszło, że tych nieszczęśliwców wypędzą na dwór.

— Ja, ja, das ist Kultur! Ich scheisse auf solche Kultur! — krął stojący obok mnie Niemiec (lokaj z zawodu, którego posłano za druty z powodu wstępu do pracy, Arbeitsschen).

Kolumna chorych dowlokła się na plac ostatkiem sił. Wielu z nich szło, wspierając się o sąsiadów, wielu zwiślało na ramieniu

*) Revier — szpital obozowy.

drugich. Niektórych niesiono, trzymając za ręce i nogi. Ano, jak się ma 40 stopni gorączki względnie zapalenie płuc w najcięższym stadium, to trudno samemu iść. Blokowi rewiery, Franz, popędzał kijem swoich pacjentów, kierując ich na skraj placu, niedaleko kuchni. Prześcierała kazano im rozciągnąć na żwirze, i tak na twardym, kamiennym łożu, tchnącym wilgocią, rozłożył się obóz trędowatych. Z otwartych ran i lejących się wrzodów bił zaduch, z napóju trupich twarzy patrzyły ku nam oczy... Oczy smutne do dna. Był to smutek ginących we wzgardzie, w odosobnieniu, w bólu nikogo nie obchodzącym i przez nikogo nie pojętym.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Zbliżało się południe. Było już naprawdę ciepło. Skurczone mięśnie rozprężały się leniwie i słodko. Niebo, aż poblakło z nadmiaru pogody, zamykało się nad nami bezkresną, błękitną kopułą. Wspierały ją od wschodu i północy łagodne zbocza, ciemną zielenią szwereków pokryte. Od południa i północy strzępił ją daleki masyw Alp tyrolskich, niebieski jak samo niebo, poorany jeno bruzdami przepaści i białymi bliznami wiecznych śniegów.

Ze wszystkich stron podbiegały pod kolczaste druty trawy, soczyste i kwietne. Z po bliskiej wioski dolatywały dźwięki dzwonu. Było dobrze.

Słońce tymczasem stanęło na środku nieba. Powietrze napełniło się żarem. Z rozblekitnionego nieba lały się na nas gorące blaski, żwir pod stopami zaczynał dokucać, trudno już było znaleźć sobie miejsce. Pragnienie — byliśmy ciągle bez kropli kawy czy wody — paliło suche podniebienia. Głód osłabiał do reszty. Najgorzej było tym, którzy nie opalili się dotąd ani trochę, pracując w zamkniętych przestrzeniach. Przypaliło ich z miejsca. Długie tygodnie po tym męczyli się z pecherzami, ze skórą schodzącą płatami. Ale i nam, spalonym na brąz dokuczliło słońce „dnia oko pięknego”. Siegało bowiem wtedy tam, gdzie nigdy przedtem nie sięgało, przypiekło nas w najbardziej białe, czule części ciała.

Nie mówmy już o „kolonii trędowatych”. Umierali w spiekocie jeden po drugim. Zwiłali się na białych całunach w konwulsjach i kurczach. Pragnienie życia gasiła własna pianą na ustach.

Głód był coraz większy. Stałszy przecież od 3-ej w nocy bez żadnego, choćby najskromniejszego posiłku. Nie wszyscy co prawda. Zdało się, że ten jeden jedyny raz będzie równość między więźniami, że blokowi i kapowie. Gdzie tam...

Jeszcze rankiem, przed rozpoczęciem akcji gazowania baraków, wynieśli na plac cebrzyki z kawą, chlebem, margaryna i marmeladą. Oczywiście dla siebie. Względnie dla nielicznych „funkcyjnych”.

Słońce powoli przesuwało się ku zachodowi. Nadeszło południe. Upał żelzał. Członki ogarnęła słabość. Poruszaliśmy się bezwładnie i ciężko. Przeważnie siedzieliśmy na ziemi, nagrzanej słońcem, czekając na koniec udręki. Gazowanie bloków wreszcie, wreszcie ukończono, cywile opuścili obóz, ale o wypuszczeniu nas do baraków nie było jeszcze mowy. Gaz musiał poigrać sobie z wszami i pchłami dobrych jeszcze parę godzin. Nie wolno było otwierać drzwi i okien za wcześnie. A kiedy, już pod wieczór, otworono baraki naocież, kiedy chwila powrotu na bloki zdawała się bliska, okazało się, że owszem, można wejść do środka i... paść trupem na miejscu. Zabójczy gaz pomimo napływu świeżego powietrza, panował jeszcze wszechwładnie. I znowu czekać...

Na niebo wypłynął księżyc. Nastął zmrok. Zrobiło się chłodno. Na dobietek zjawili się, ni stąd ni zowąd, wiatr. Niewielki, ale dla nas wystarczająco dokuczliwy. Nagrzane za dnia ciała trzymały ciągle jeszcze ciepło, ale powoli, powoli ludzie zaczęli dygotać. Świat poszarzał i ściemniał, wspaniała luna od zachodu okryła nagich lekkim fioletem.

Powstał z ciemności — powracali w ciemności.

Ludzie zbijali się w grupy. Idąc za najwykleszym elementarnym instynktem bydła, skupiali się w mniejsze lub większe stada, sfoczone do ostateczności. Był to najlepszy sposób rozgrzania się, w danym momencie po prostu jedyny. Szczęśliwcom, którym udało się dostać do środka, było nie tylko ciepło, ale gorąco. Dzieśiątki ciał, napierających ze wszystkich stron i ugniatających się wzajemnie niczym w maglu, wytwarzało w środku wymarzoną temperaturę. Sterczący na obwodzie byli w daleko gorszej sytuacji, to też co chwila wybuchały bójk i kłótnie o miejsce w środku, o zmianę, o zastąpienie wyzionych, wygrzanych i naodwrot! Przekleństwa hiszpańskie mieszały się z polskimi, tak jak mieszały się nie do poznania ani rozdzielania ciała polskie z hiszpańskimi.

A ci, pod kuchnią, leżeli na prześcierałach...

I znowu przyszła NOC.

Niebo, groźnie granatowe, zmierzwiło się burymi chmurami. Księżyc, wieczny tułacz, wychylał od czasu do czasu swój łeb okrągły, patrząc na nas. A my na niego. Jeszcze nigdy gęba księżycowa nie zdawała nam się tak okrutnie ironiczna. Nie było w niej ani zdziła współczucia, nie było nawet zdziwienia. Nic, tylko srebrna, zimna ironia, zakotwiczona gdzieś w niebiosach...

A na ziemi pokój ludziom dobrej woli, zamkniętym i zapiekłym na białych całunach...

a na ziemi pojęk ludzi w niewoli, nagich i głodnych, i wygnanych nocą, wyjących zciacha do księżyca.

Bożys — zwróciłem się do przyjaciela — popatrz, czyja fantazja zdołałaby wymyśleć coś podobnego?

Siedem tysięcy nagich mężczyzn słończyło się w blasku księżyca w stada upiornie seledynowych widm człowieczych. W ruchome zwały fantastycznie popłatanych ciał, w niesamowite dżungle ludzkie

Przygodny przechodzień, gdyby jakimś cudem przedarł się przez strażę i stanął za płotem — ujrzałby...

Co u licha? Gromady gołych dzikusów, zamuszających o północy modły do księżyca? Czy też obóz pomylenców, opalających się w nocy? A może, może ci ludzie — bo jednak to są ludzie — wyczekują o głodzie i chłodzie nadejścia Mesjasza?

A tymczasem nieszczęśliwcom, obozującym na placu, brakło do szczęścia tylko koszuli. Nic więcej. Przekonaliśmy się o tym wówczas, kiedy... kiedy pojawili się między nami pierwsi kombinatory spod znaku wielkiej niedźwiedzicy. Oczywiście blokowi, tudzież kapowie. Korzystając z chwilowej nieobecności wachmanów, licząc też trochę na bezkarność (w stosunku do nich), wynieśli z baraków swoje koszule i zaczęli w nich paradować po placu.

O Boże! Jakaż straszliwa zazdrość ogarnęła nas wszystkich. Zazdrość piekielna, dławiąca, niepowstrzymana. Jakże bezmiernie szczęśliwi zdali nam się ci pierwsi zdobywcy odzienia. „Bliższa koszula ciału, niż sukmana” — mówił stare przysłowie i mówi święta prawda. Przekonaliśmy się o tym wtedy, w nocy, na placu gusenowskim. Niczego nie przagnęliśmy, o niczym nie myśleliśmy, do niczego nie wdychaliśmy, jeno do koszuli, koszuli, koszuli... Całe ludzkie szczęście sprowadziło się dla nas do wymiarów zwykłej koszuliny, do jej kształtów najdroższych, do ciepła jej niezastąpionego.

Powoli, co sprytniejsi i odważniejsi, nie bacząc na kije pilnujących blokowych, zaczęli się przedzierać w ciemnościach do bloków i wynosić na plac co się dało. To spodnie, to bluzy, to kalety, to koszule, jak popadło. Niebawem zaroilo się wśród golasów od wybrańców losu, odzianych w koszule względnie tylko w spodnie. Byli i tacy, co paradowali w samej bluzie sięgającej do bioder. Ale i tak byli zadowoleni. Mnie, przynajmniej szczerze, brakło odwagi zaryzykowania. Zastąpił mnie jak zawsze Bożys, który przedarł się „między szable i grotę” przynosząc dla nas obu wymarzone koszule.

Błoga chwilo, w której wciągałem na siebie królewską szmatę obozową! Żyjesz w mej pamięci po dziś dzień i dotąd czuję rajskie twoje ciepło.

Większość ludzi na placu stała nadal nago. Widok ubranych powiększał tylko tragizm sytuacji, załamując moralnie tych, których jedynym odzieniem była własna skóra.

Na szczęście nierówność losu nie trwała długo. Koło północy, po uprzednim wydanu nam na placu chleba i kawy, pobiegliśmy wreszcie na bloki.

Ostra, o cytrynowym posmaku woń wypełniała wnętrze po brzegi, było nam jednak wszystko jedno.

Runęliśmy na sienniki jak kłody.

Nazajutrz cały obóz był jednym wielkim pobojuwiskiem. Miliony martwych pcheł leżały wszędzie, gdzie tylko okiem sięgnąć: na uliczkach, na podłogach, na siennikach, nie mówiąc już o naszych ubraniach i bieliznie.

Eksperyment udał się całkowicie. A, że na skutek tych dwudziestu godzin, wystanych goło na dworze, zmarło na miejscu względnie bezpośrednio potem około 40-tu „Häftlingów” to najlepszy przykład, jak łatwo można zniszczyć miliony niebezpiecznych pcheł, kosztem kilkudziesięciu zaledwie ludzi.

Nic tedy dziwnego, że eksperyment ten został w analogicznych warunkach powtórzony w dwa tygodnie później i znowu w niedzielę, w dzień wolny od pracy, w dzień odpoczynku.

Stanisław Pięta

PARTYZANT I DZIEWCZYNA *)

CZĘŚĆ IV.

I.

Jakie szczęście, że Jaś opuścił wieś tej nocy. Już rankiem zjechali żandarmi na obławę i ogniem posiekali ziemię. Płakały oczy ludzkie, widząc jak wstają ze strzech dymy krwawe. Żandarmi przybyli i do chaty Kowalskich, usłużny szpieg doniósł bowiem, że Jaś ukrywa się tam oddawna. Stary Jakub zebrał łaski i ręce wyciągał do Golca, skomląc żywo, że nie prawda, że on Kordiasa pędził z domu. Zresztą zerwała z tamtym już od roku córka. Marysia stała blada, bez słowa, u kłonu szukając jakby wsparcia. Mierzyl z podwórka w nią żandarmi, ubezpieczając się na strony. — Ach, panie Golc, niech pan zaświadczy, my poczciliśmy ludzi — zaniósł się łkaniem znów Kowalski — z żony jego jęczącej obok, pot ciekł brudno-słny. Golc był blady również i patrzył niespokojnie. Nagle jednak sprostował się i po niemiecku rozpoczął mówić do żandarmów. Na dostojne zasługi powoływał się swe, że od dziecka pozatym zna rodzinę Kowalskich, lojalna ona, z oddaniem wypełnia rozkazy władzy. Stońce grzało i ziemię niosła mgła zaranna. Marysi twarz stała się i tak jak ze sadzy. Nie była pewna czy Jasia nie ma w pobliżu i rozpaczliwie patrzyła na pola dokoła. Trzech chłopców leżało w piasku jak na krzyżu, Niemcy gnali nowych mężczyzn od kościoła...

II.

Stońce stało nad wioską zimne, spokojne — i tylko chmury rozbite kreśliły lot ponury. Tumany kurzu szerokim, parnym wichrem niesione jęły ludzi, rżenie głośnie zwierząt niosły do góry. Zawisł w biały dzień student Stach Lis. Na jego twarzy ryło się coś jakby gniew, czy gorzkie zniecierpliwienie. Oko miał wybite, a w drugim płomień krwi się żarzył. Widać było, że zdejmując go ostatnie rżenie.

— Powiesiliśmy zbója, powiesim więcej, dość siły mamy — rzekł wójt Golc. — Niemcy, zając patrzyli w górę. Tam stygł już krwią powieszony — dymy bure się wily — i sosny przechylały się w siną, rozwleką chmurę.

III.

Wieczór nastał pochmurny, gwiazdy świeciły zimne, Nie uciszyła się wieś. Paliły się ogniska, a ludzie padli w znak, płakali — i w dale ciemne leciała powieść o zemście brutalna, a czysta.

— Czy dobrze się dzieje, że nasi ludzie Niemców tłuką? — wołał Kozdoba. — Za Jasia trup jeden — i z piętnastu na męki pognali młodzieńców. Jak Żydów pchną nas Niemcy na śmiertelną bledę... Nikt nie odezwał się z początku, posmutnieli zagnęli wszyscy. Lis Bartek jeden wstał i wolno rzekł, że błota wyschną, piasek bieg rzek rozdzieli i na froncie wschodnim znów wybuchnie wojna. Rosjanie przeszli Dniepr, przejdą i Bug, Wisłę, San i Niemców z polskich ziem przepędzą na zachód. Czasy, moi kochani, bowiem takie przyszły, że Hitlera wreszcie diabli wezmą — nie ma strachu!..

IV.

Sędziszów jednak wkońcu zasnął pod gwiazdą. Tylko w lesie, gdzie był Jaś, czuwali wszyscy. Przykrzyło się młodemu, tęsknili za jazdą, więc pieśni nucili westchnieniem najcichszym...

„Naszła znów nocka, bracia, z oddali.
Oj, duli, duli!..
W domu już dawno byśmy spali.
Luli! luli!..”

Zarżnąłeś szpiega, też szkoda.
Ach, ach, kochany!..
Żandarm uwięzi i będzie bieda.
Zasypią oczy twej Frani!..

Zabiłem — cóż to, pójdę do księdza.
Ali — ali!..
Księdza gnę również niemiecka jęda.
Pali, pali!..

A ja wam powiem, że chciałybym być w domu.
Tam pocałować dałbym się komu...“

V.

Tej nocy Jaś był już w środku snu, gdy zbudził się niespodzianie. Pojaśniało na świecie, lecz wiatr żałośnie ciągle tokotał. Chciał spojrzeć — tu w głębi snu jednak ujrzał życia swego zaranie — igraszki młodzieńcze, śmiech Marysi wesoły, mruczenie kota...

Nad studnią walczyły dwa gołębie,
a w dole tarzał się pies na stońcu.
Ujrzał naraz Marysię na zrębie,
śpiewała smutną pieśń o Ogroju.

Wzruszyło go to wspomnienie i długo leżał, nie śpiąc. Znów chwycił myśl o obłudzie Marysi i jej zdradzie, ale nawracała lekka, melancholijna pieśnią — że niby komu, komu jest nieszczęsna na zawadzie?..

VI.

Tydzień zaledwie upłynął od czasu egzekucji w Sędziszowie, gdy Jaś ze swymi kolegami wybrał się pomścić śmierć przyjaciela. Nasturcził kwiatem zdawał się być miesiąc, co nad wierzbami szedł i cieńmi nawiedzał nizinne obszary. Noc była zimna, ale tak piękna. Błękitne przestrzenie stały czyste i znac, nie do wiary, każdą gałąź było drzew, biegł szept aksamitny.

VII.

Wojska było niemało we wiosce, dlatego naprzelał polem roztajanym szli do Golca. Psy spały. Na oborze szum był o białego cienia księżycy. Nad płotem szczękały kolce.

Od tyłu weszli na strych domu i dopiero stamtąd przedostali się do dalszych pokoi. I tu księżyc nad podłogą wisiał siekierą białą. Jaś, gdy przystanął, był jak w srebrnej zbroi.

VIII.

Minuta nie przeszła, a sterroryzowali służbę i Golca w bieliźnie w dalekie pole uprowadzili. Sowę słychać było w dali jasnej. Księżyc już teraz wiał na złotym kole.

IX.

Golc z początku wydzierał się, złorzeczył, potem jednak przymilkł i tylko jęczał przeraźliwie. Postawili go pod gruszą połą. Czuć błotem było powietrze i mokrym, leśnym igliwem. Odczytano mu wyrok, łysa jego głowa drżała, jak lśniąca kula. Skamlał, że zastugi ma różne, że ratował ludzi... Prózne słowa były jednak jego. Padł od kul w krwi, jak długi...

X.

A wiosna znów szła.
Ściekała woda, zgrubiała ziemia czarna.
Las pierwszy ożył — las.
Wschodziły ciężkie, wiatrem naniesione ziarna.

Przelatywały burze. Ach, deszcz lał.
Powietrze było rzeźwe i światłem drżało pawim.
Wiatr cichy snuł się, gdy zmierzch na listkach spał.
Lśniły się pod blask księżycy oczy chat ogromne i łzawo.

XI.

Rychło przyszły wszakże upały, dni snuły się znojne, wlokąc za sobą żar kurzu, pot zwierząt i spiekotę. Konie w orce wstrząsały lby, postępowały wolno. W mglistych wodach pijawki, płynąc, lśniły się jak złoto i brodzącym chłopcom cięły do krwi golenie boso. Lilie białe, żółte wychodziły z sitowia oto, a przestrzeń siwa niosła się żalonym czajek głosem. Pod wieczór bocian, zbudziwszy się, klekotał zawzięcie. Chmury leciutko zaraz poruszały się nad stawem. Z głębin przepastnych wody lśniącej, z ciemnego ukrycia szmer tajemniczy szedł ku gwiazdom wilgotnym opalem. A starcy siwowłosi, do biełżny rozebrani, leżeli na przyzbach, przygadywali w dal ku niebu. Bydło tłukło się — i oddech głęboki szedł ze stajni. Myszy, stonogi wspinały się do końskiego żłobu.

XII.

Monotonnie i ciepło było wokoło na świecie, ale w życiu Marysi nie było ni dnia szczęśliwego. Wystawiona na czujne oczy ludzkie, na sztyderstwo, przysięgła zataić swą ciężą do dnia ostatniego. „A potem? Potem niech dzieje się, co chce. Wielki Boże, niechaj cud się objawi, tak wielkie moje cierpienie. Czas mija, ale wszak Jaś wrócić jeszcze do mnie może — a wtedy i na ciężki los mój przyjdzie ukojenie...”

Ścisłała ciało, choć sprawiało jej to ból nieznośny. Przytym udawała chorą, nie wychodziła z domu. Nienawidziła przepływającej upalnej wiosny, teraz i pożalić się nie miała zupełnie komu. Wiedzieli tylko o wypadku starzy, ale oni zachowywali się w milczeniu, zakrywały głowy. Kowalski teraz i od kościoła w niedzielę stronił. Nawet z żoną nie rozmawiał najmniejszymi słowy.

XIII.

Dzień był lipcowy, gorący, suchy. Od zachodu unosiło po ulicach kurz szary, a w sypkie, nasłuchujące powietrze zapach młoty, bożego ziela, owoców wili się struga siwą. To kulik w trzcinie zielonej nieustannie wrzeszczał. Marysia była chora ciężko i leżała w głębi w szopie. Gorączka ją męczyła, więc wszystko we wsi widziało inaczej. Przez moment zdało się jej nawet, że Jaś leży obok na snopie — i ona klóci się z nim, nie chce mu winy jego przebaczyć.

Bóle dusiły ją straszliwie, nie dały się ani poruszyć. Stonóg czy kleszcz wędrował po przez siano, a w jej duszy głosy różne i przecucia pełne łęku płynęły męczące. Na wsi na drogach działały się tymczasem tajemnicze dziwy, Gęsi cywiały i wojsko, a króle chrupiąc, nasłuchiwały ciekawie, czy nie idzie wróg z tyłu? Blisko w polu stary Lis Bartek, siwy, widząc, że nikt nie patrzy, iskał się, leżąc swobodnie na trawie. Dalej zaś chłopiec łnianowłosy spał sobie pogodnie pod płotem. Biedronka, pszczoły, muchy latały nad nim, szumiały głucho. Zdaje się, że trzmieł nijak nie mógł sobie poradzić z kwiatem złotym, Bo wciąż atakował z hukiem Lisowi grube, drgające ucho. Marysię prześwieciło od wewnątrz — zdjęło nagle przerażenie. Niespodzianie bowiem wyjechał czołg z wojskiem, ruszył wprost za ścieżką.

Nie był on niemiecki. Zerwała się i odbiwszy od ziemi, chyłkiem poczęła biec przez ogród, ratować się w strachu ucieczką. Las błękitny stał, a przed nim na szerokiej, złoczonej nizinie odbywało się coś niezwykłego, biegli żołnierze, strzelali! Czołg, który pierwszy jechał, naraz stanął, zapalił się. — Krew płynie — ktoś krzyknął. W pobliżu buchnęło wtem działo i dym poszedł z falli.

— Rosjanie przyszli — zaczęła szeptać Marysia, schyliła głowę, — O, Boże, więc wolność! Daj mi spotkać Jasia, daj urodzić dziecko. Niczego więcej nie pragnę tylko ich ujrzyć jeszcze!.. Ze słowem tym uniosła się i naraz upadła, zapłakawszy nad rzeczką...

*) Patrz początek: „Wieś“ Nr Nr 41 (69), 42 (70).

Stefan Łańcicki

Warunki materialne studiów akademickiej młodzieży chłopskiej

Trudne warunki gospodarcze rodziców, brak często jakiegokolwiek nadziei na nikłą choćby pomoc rodziny, powodują to, że pewien odsetek młodzieży chłopskiej po ukończeniu gimnazjum pozostawają w domu. Silna jednak wiara w przyszłość, pragnienie wiedzy, wreszcie nadzieja zdobycia sobie jakiegoś stanowiska po ukończeniu studiów wyższych przepełniają młodą duszę i skłaniają znaczną część młodzieży do wyjazdu na studia. Ile jednak trzeba było doznać zawodów, ile przejść upokorzeń, ile wycierpieć biedy, o tym nie wszyscy wiedzą. Bogaty znajdzie od razu towarzysztwo i przyjaciół, którzy radzi witają nowy żywioł, mogący wnieść świeży dowcip i pełną kieszeń. Biedny długie czasy stoi na uboczu. Z nieśmiałością, niepewnością jutra, z troską o chleb powszedni rozgląda się w gronie nowych kolegów, nie wiedząc, czy znajdzie pracę, dającą kawałek chleba, czy znajdzie dłoń bratnią i serca bratnie. W najlepszym razie zwróci profesor na studenta uwagę, zbliży do siebie, zachęci i poprze przy staraniach o lekcję, pożyczkę, czy stypendium. Często jednak żadnym sposobem nie można się utrzymać. Jedzie się więc do domu, by stamtąd próbować swoich sił. Czasem zniechęcony z podniszczonym zdrowiem zmuszony jest przerwać studia, by powiększyć legię ludzi zdeklasowanych, niewykwalifikowanych.

„Mówiąc prawdę — pisze w pamiętniku W. W. — udając się na uniwersytet, szedłem za cichym głosem duszy i za tą nadzieją, że może pracą uboczną będę mógł zarobić na utrzymanie i opędzenie mych wydatków. Tak więc jakby na próbę rozpocząłem swe studia. Wiara w przyszłość że jakoś to będzie, przyswierała mi na tej nowej drodze... Bo — jak pisał dalej — jestem członkiem pokaźnej rodziny. W kolejności w jakiej przybyło na świat 9-oro członków rodziny stoję na 8-mym miejscu. Tak jak na dzisiejsze czasy, czasy kryzysu gospodarczego — liczna rodzina nie należy do rzadkości w mej wsi. Spotkać w niej można rodziny nawet liczniejsze... Ten nadmiar ludności odpycha do miast, gdzie żyje w fabrykach, rzemiosłach itp. (odległość od miasta nie duża). Tym warunkom zawdzięcza i moja rodzina swe możliwości rozwoju. Gdyby nie możliwość pracy w mieście, rodzina znalazłaby się w ciężkich warunkach materialnych. Ojciec mój bowiem zmarł w r. 1913, zostawiając — jak wspominałem — liczną rodzinę na szczupłym majątku (7 mórg). Starsi członkowie rodziny musieli szukać pracy poza domem, poza wsią... Nikt z domu nie wyniósł ani średniego, ani wyższego wykształcenia, nikt też nie jest pracownikiem umysłowym w pełnym tego słowa znaczeniu. Wszyscy skończyli szkołę powszechną, elementarną. Dlatego też każdy dorastając chwytł się pracy fizycznej w fabrykach, rzemiosła, urzędach państwowych, prywatnych itp. I tak odplynęło z domu 6-ciu członków i to i mnie czekało.

„Ponieważ praca na roli przypadła inemu z nas, a wkrótce i ziemia została rozdzielona między dorastające rodzeństwo, dlatego i ja musiałem szukać zajęcia poza domem...

„Jak w gimnazjum tak i tu (na uniwersytecie) zdany byłem na pomoc, i to znacznie większą niż w gimnazjum, mego rodzeństwa...

„Jak cały szereg studentów chwyciłem się także pracy korepetytora, która wiele pochłaniała czasu i marnowała siłę, a zysku nie przynosiła szczególnego. Wydatki przetrastały moje dochody. Uiszczanie opłat szkolnych było wielką udręką. Korzystanie z pożyczek organizacji samopomocowych, uniwersyteckich były ratunkiem jedynym. Nie dziw więc, że sporo z nich korzystałem musiałem.

„I tu przyszło mi z pomocą szczęście. Dopiero bowiem w 3-cim roku uzyskałem stypendium państwowe, które pobierałem i w 4-tym. I tu mogę wyznać, że tylko dzięki temu skończyłem studia, choć niezupełnie w 4 latach, co rzadko zdarzało się moim kolegom. Mając pomoc od państwa, nie musiałem chwycić się często bardzo marnie płatnych lekcji, które trawiły mój czas i siłę i zdrowie; mogłem poświęcić się więcej pracy. Bodźcem do pracy była chęć utrzymania stypendium, co było możliwe tylko przy dobrych wynikach w nauce i chęć jak najszybszego skończenia studiów i uwolnienia mego rodzeństwa od danin...

Scigany koniecznością stałem się wiernym sługą nauki, pojętej nie jako coś, czym można się bawić, lecz co należy szybko przetrawić”.

Inny akademik w wywiadzie mówi:
„Pochodzę ze wsi. Ojciec był rolnikiem. Umarł w sierpniu (1936 r.). Matka nie wiele mi może pomóc. Gdybym napisał, to by tam gdzieś pobczyła, ale nie ma brać z czego. Bracia i siostry już w stanie małżeńskim też są w długach, więc też nie mogą dużo pomóc... Gdy przyjeżdżałem do Krakowa miałem tylko 200 zł i znikąd nie spodziewałem się więcej dostać. Z tego zaraz zapłaciłem około 150 zł na wpisowe, opłaty, część taksy. Obiad to tak jadłem raz na tydzień. Mieszkałem najpierw przy jednej rodzinie — krawiec — płaciłem za to 13 zł miesięcznie... Najgorsze to było to, że nie miałem żadnych przyborów do rysowania (Akademia Górnicza), ani podręczników. Dopiero powoli zdobyłem sobie kolegów, którzy mi pożyczali”.

(Kraków J. M. 4.10 1937).

J. P. po rocznej przerwie — służba wojskowa — wpisuje się na prawo: „I znów zaczynają się dla mnie ciężkie chwile — pisze w swoim pamiętniku. Czasem myślałem, że trzeba będzie ze studiów zrezygnować... Brak pieniędzy na opłatę, a często nawet i na podróż do Krakowa dawał mi się dotkliwie we znaki. Wśród tych smutków, walk o utrzymanie się na powierzchni życia minął mój pierwszy rok studiów. Część tego roku spędziłem w domu, a resztę w Krakowie. Egzamin zdawałem po wakacjach, gdyż brak pieniędzy na opłatę administracyjną mnie do tego zmusił... Jak wielu studentów tak też i ja często zadawałem się kawałkiem suchego chleba i szklanką herbaty. Lecz to tylko poczętek. Chciałem zdać ten pierwszy egzamin i zdałem”.

„Nie chcąc pożyczać u siebie w domu — pisze znów w swym dzienniczku — P. S.

coś da. Jest nadzieja — złośliwi mówią, że jest matką głupich. Jest dużo prawdopodobieństwa, że ich twierdzenie i tym razem się sprawdzi...” (10.12 1937).

„Życie jak dawniej płynie w trosce o chleb powszedni — pisze inny akademik St. P. w dzienniczku — Żebyż to człowiek mógł raz zaprzestać myśleć o każdym groszu. Jakżeż to ciężko, gdy przy każdej wydanej monecie, trzeba pomyśleć: a no, lekko poszło, ale za to jutro będę bez obiadu... „Oszczędności moje starczą mi na jeden rok WSH (Wyższe Studium Handlowe), a drugi? O trzecim staram się nie myśleć. Może po dwóch latach WSH uda mi się wyszukać jaką posadę? Oby, ale cóż, to na razie tylko marzenie, a jakież ono przybierze formy na przyszłość, któż to wie? Cóż z tego, że mam w sobie dużo energii, że chciałbym działać, jeśli nie ma gdzie?”

(19.12 1936).

Chyba wystarczy opisów — wszędzie przebiega przez nie ta sama nuta. W ustawicznej trosce o chleb codzienny, w ciągłej gonitwie za marnie płatnymi lekcjami, za pożyczkami, upływało życie młodzieży chłopskiej. Głównym bowiem źródłem utrzymania się tej młodzieży były lekcje i ewentualnie dorywcze zarobki i pożyczki z najróżnorodniejszych źródeł, oraz stypendia i zapomogi.

Pomoc rodziców była stosunkowo nikła. Gospodarując przeważnie na karłowatych gospodarstwach, obciążeni licznymi rodzinami, nie są oni w stanie pomagać swoim synom na studiach. Bardzo często pomoc ta ogranicza się do posyłania paczek żywnościowych.

Głównym źródłem utrzymania były więc własne zarobki. Ten sposób utrzymania się jest tak powszechnie znany, że nie potrzeba tu żadnych statystycznych danych.

Praca zarobkowa zajmowała też tę młodzież bardzo dużo czasu, powodując opóźnienie w studiach, nadwyrężając zdrowie itd.

Pokaźną sumę w budżecie akademika-chłopa stanowiły następnie pożyczki najróżnorodniejszego rodzaju. Będą tu więc należały pożyczki uczelniane (dziekańskie, rektorskie), pożyczki z organizacji samopomocowych, a więc z Bratniej Pomocy St. UJ (mieszkańcowskie, obiadowe, pieniężne i długo- lub krótkoterminowe), oraz z Kół Prowincjonalnych (przeważnie pieniężne), wreszcie pożyczki od osób prywatnych, a więc od rodziny, znajomych, kolegów już pracujących itp.

Z tych różnorodnych pożyczek korzystała młodzież chłopska b. często i starania o nie zabierały jej niemało czasu. Pewną ulgę w studiach niezamożnej młodzieży stanowiły odroczenia opłat akademickich. W praktyce odraczana była połowa opłaty. Wysokie opłaty uniwersyteckie, podwyższone jeszcze w r. 1932 stanowiły poważne obciążenie w budżecie akademika i niejednogo zmusiły do przerwania studiów i pozostania w domu. Wszyscy też studenci ze wsi starali się o ulgę w opłatach (o odroczenie t. zw. „czesnego”) i tu już z większym na ogół skutkiem, niż przy staraniach o pożyczki uczelniane. Ulgi jednak nie były wystarczające i wywoływały często rozgoryczenie u młodzieży, przenoszące się przez nią na szerszy teren.

Wszystkie wyżej wymienione źródła składały się przeważnie na budżet akademika ze wsi. Za normę należałoby przyjąć w tych czasach (1933-38) miesięczny budżet akademika w Krakowie 70 zł. Zwyczajnie więc jedno źródło nie wystarczało. Dobrze było, gdy dany student uzyskał stypendium. W przeciwnym razie musiał wykorzystywać wszystkie inne źródła, by pokryć koszt miesięcznego utrzymania, które u akademika ze wsi nie dochodziło przeważnie do normy, lecz wahało się około 40 zł i nie przekraczało na ogół kwoty 50 zł miesięcznie.

Poważną pozycję w budżecie studenta ze wsi stanowiły względnie powinne były stypendia dochody ze stypendiów i zapomóg wszelkiego rodzaju. Należą tu przede wszystkim stypendia państwowe. Korzystanie ze stypendiów prywatnych przez młodzież chłopską było znikome, nie posiadała bowiem wymaganych najczęściej przez fundatorów atutów rodowych. Ustawa o stypendiach gminnych, z których młodzież mogłaby najłatwiej korzystać, niestety nie została na ogół wprowadzona w życie.

O stypendia państwowe starała się z reguły młodzież wiejska rok rocznie. Uzyskanie bowiem stypendium państwowego (przeważnie pół-stypendium w kwocie 60 zł) była dla niej ważną podporą i zmieniało gruntownie warunki studiów tej młodzieży. Niestety rzadko te starania były skuteczne.

Każda jednak zaciągnięta pożyczka czy to na uczelni czy w organizacjach samopomocowych, czy wreszcie u osób prywatnych, od rodziny, każde uzyskane stypendium, czy odroczenie „czesnego” podwyższało zadłużenie studenta. W ankiecie młodzieży chłopskiej, kończąca studia oblicza swe zadłużenie na 2 do 3 tysięcy złotych i wyżej — nawet 4.000 zł.

Z balastem znacznego zadłużenia wkracza inteligent ze wsi w życie i znów start w porównaniu z innymi sferami nierówny. Stan ten pogłębia obowiązki tej inteligencji wobec swej rodziny, która tyle lat odkładała sobie od ust, by dać swemu synowi czy bratu lepsze warunki bytu. O konieczności tej pomocy inteligencja chłopska nie zapomina, uważa to za swój obowiązek. Już nawet podczas studiów można się było spotkać z tym zjawiskiem, że młodzież wiejska pomagała w miarę swoich sił rodzinie np. w wypadku uzyskania jakiegoś lepiej płatnego zajęcia, subwencji, a czasem nawet z funduszy, uzyskanych z korepetycji.

Przy takim niskim budżecie młodzieży wiejska zmuszona jest ograniczyć swoje rozchody do zaspokojenia często najprymitywniejszych tylko potrzeb. Główną też troską tej młodzieży jest mieszkanie i utrzymanie, a następnie ubranie.

Ze względów finansowych młodzież chłopska zatrzymywała się przeważnie w Domach Akademickich, wynajmując tam mieszkanie najczęściej do spółki z dwoma kolegami (t. zw. „trójki”). Starsi zaś studenci, którzy już łatwiej sobie radzili oraz z powodu potrzeby większego spokoju do pracy wynajmowali pokoje dwuosobowe — t. zw. „dwójki”.

Zygmunt Stolarski

Jak wczoraj

Poszósze zaprzęgi w malowany mostek
zagrzmiały nagle jak gradowe burze.
W zatrzwożonych chatkach schraple głosy kurze
zaniosły się gładkami na latośne posty.

Jurny kogut wyskoczył z złocistej karocy
i wywiódł złotą kokosz pod filary ganku.
— Widział to Jasiek, gdy z glinianym dzbankiem
po wodzę idąc, stanął, przysłoniwszy oczy.

— Tak ci, tak! Potem kogut drugi —
karmazyn — pisał im przez godzinę całą.
Pod szponiastym dziebem szczerzłote gąły
dyndały, aż echo dzwoniło u strugi.

Lecz przecież... Jasiek garścią przetarł oczy:
— most nad strugą hiałal jezdnią nową
i zachód nieba purpurowo plonął
za wioską gwarzącą przed nastaniem nocy.

To nic. Tylko czasem przypomniała nuta,
krzak brzącający piosnką spóźnionego świerszcza,
albo uprzykuszony refren wczorajszego wiersza
odpieje wiejskim kurom — krzykliwym kogutem.

— wyszedłem na miasto z tym zamiarem, że pożyczę w Kole większą kwotę, a po świętach wrócę, tym bardziej, że stan mój obecny uważam za przejściowy i drugi trymestr zapowiada się całkiem lepiej... Niestety w Kole nic nie załatwiłem. Wypadło prywatnie pożyczyc od kolegów. Niestety nie zdobyłem się już na to Trochę już od kilku pożyczyc przedtem, więc nie chciałem. Bałem się odmowy. To by mnie dobiło. Jakże to jednak strasznie przykre, tak łapać kogoś na oszerności i „Panie Kolego” lub „Kochany, pożycz mi trochę forsy na parę dni...” i czekać aż on na to powie: „Niestety nie mam”, co czasem należy rozumieć: „niestety nie pożyczam”. Tej interpretacji bałem się, no i przesłęczałem tam z pół godziny i... powróciłem do domu, coż miałem lepszego do roboty... Spotkałem co prawda M., który mi winien kilka złotych. Rozumie się nie miał ani grosza. Ma dostać w Bratniaku dziś w południe, to mi

Oto przygodna rozmowa z jednym studentem ze wsi:

M. „Idę na lekcje... Mam ich cztery Dwie u siebie w domu, a na dwie to muszę iść do domów... Razem do 50 godzin miesięcznie, przy tym trochę czasu traci się na dojeżdżenie, ewentualne czekanie. Zarabiam w ten sposób do 80 zł miesięcznie.

— To wam bardzo dużo czasu zabiera.

M. „Tak i dlatego studia ledwo wlokę. Egzamin (prawo) zdaję zawsze po wakacjach, bo właściwie na wakacjach dopiero można coś zrobić...”

Wypadek powyższy nie jest odosobniony. Przeciętnie bowiem praca zarobkowa zabiera studentom 10—15 godzin tygodniowo.

Nie wszyscy jednak studenci mieli możliwość zarabiania wystarczająco podczas roku szkolnego — odnosi się to szczególnie do studentów filozofii. Chwytali się więc często różnych zajęć podczas wakacji.

Stefan Lichański

U POETÓW

Tadeusz Hołuj: Wiersze z obozu, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, 1946, str. 69 + 3.

Tomik Hołuja rozpada się na dwa cykle, z których pierwszy obejmuje wiersze z okresu konspiracji, drugi — z czasów pobytu autora w niemieckich obozach koncentracyjnych. Wiersze pierwszego cyklu są wyraźnie dalszym ciągiem przedwojennej fazy pracy pisarskiej Hołuja; widać po nich wyraźnie, że poeta długo i ciężko przechorywywał „oszę awangardową”, tę specyficzną chorobę pokolenia, które twórczość poetycką rozpoczynało w latach trzydziestych. Dziś takie wtórne awangardyzowanie wygląda już bardzo blado i nieprzekonywująco. Lektura tych wierszy utrwała mnie w powziętym już dość dawno przekonaniu, że skoro zna się dorobek poetycki Czechowicza, Przybosa i Peipera — można śmiało zrezygnować z lektury przynajmniej 75% najnowszej produkcji lirycznej, gdyż w ten sposób zaszczędza się sobie irytacji, która jest nieuniknionym wynikiem rozczytywania się w naiwnych plagiatach i kiepskich reprodukcjach będących jedynymi już dziś przejawami pozagrobowej egzystencji nieboszczki Awangard. Mam w tym wypadku na myśli objawy występujące nagminnie w poezji współczesnej, w małym zaś tylko stopniu „awangardowe” wiersze Hołuja, wiersze odznaczające się niewątpliwym poziomem kultury literackiej, co na tle twórczości najmłodszego pokolenia, którego znajomość dawnej poezji rzadko kiedy sięga wstecz poza Tuwima, znaczy bardzo wiele.

Dla Hołuja wyjście poza krąg ustabilizowanej egzystencji było o tyle korzystne, że wydobylało ją od wewnątrz. Wiersze osnute na tle przeżyć obozowych są bardziej „staroświeckie”, mniej w nich wycupirzonych pelperowskich peryfraz i wtórnego „przybosiowania”. Ta poezja jest mniej sztuczna: wymyślona, ale za to zbyt „okolicznościowa”: droga od realnego przeżycia do poetyckiej konkretyzacji owego przeżycia jest zbyt krótka. Nie widać w utworach cyklu „obozowego” pracy nad realizowaniem jakiejś określonej koncepcji poetyckiej. Trudno pisząc o tych wierszach uniknąć określenia: naturalizm poetycki. Autor bowiem wywołuje nastroj samymi pokazywaniem realiów, samą fabułą poetyckiej opowieści. A przecież sens roboty poetyckiej nie leży chyba w samym fakcie wywoływania wrażeń, lecz w sposobie, w jaki wrażenia są wywoływane. To, co się nazywa popularnie „formą utworu”, jest przecież chyba nie „szata” czy „naczyniem”, jak nauczają dawne podręczniki szkolne, ale przede wszystkim konkretny wyrazem stopnia intelektualizacji problemu, z którym się autor parą, i trans formacji surowego materiału życiowego w konkretny układ elementów estetycznych — w dzieło. Zastrzeżenia te dotyczą się nawet najlepszych utworów zbiorku jak np. „Wiem, zdecydować mogę”, „Opowieść o nocy ostatniej” czy „Taka piosenka”.

Tam, gdzie Hołuj wyzwała się z szablonów awangardowego sztukmistrzostwa i zaczyna być naprawdę poetą, odsłania się jego brak zasadniczy: brak własnej postawy artystycznej, brak, którego naturalnym następstwem jest granie efektami czysto wzruszeniowymi, próby podejścia czytelnika od strony „życiowej” (To się wam nie uda, panowie poci! Czytelnik i tak będzie uważał za bardziej „życiowe” brechty panny Dell), zastępowanie głębszej problematyki hasłkami. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z faktu, że każde najgłośniejsze nawet i najlepiej w gusty i nastroje „epoki utrafiające „hurra” — wietrzeje bardzo prędko. Przesadna jaskrawość efektów (np. w wierszu „Dziewczeta”), jaskrawość, którą ongiś słabodzie dobrej woli, a ubożego umysłu i słabo w rzeczach kultury i literatury zorientowani czcili pod nazwą „śmiałości”, jest w granice rzeczy niczym więcej, jak tylko dowodem, że autor natknął się na problem, z którym nie może sobie dać rady, i dlatego krzyczy. Oczywiście rozpatrując całą sprawę od strony społecznej, można zrobić uwagę, że czasem taki krzyk jest bardzo ważny i potrzebny. Zapewne, ale to już jest z punktu widzenia sztuki sprawa uboczna i gdyby w naszych czasach żył jeszcze jakiś zadowolony esteta, mógłby twierdzić, że jak niekoniecznie najlepsza lokomotywa jest ta, która najgłośniej gwizda, tak też wcale nie jest pewne, że najlepsza sztuka jest ta, która najgłośniej o czymś krzyczy.

Grzegorz Timofiejew: Wysoki płomień, wiersze z konspiracji i obozu, 1946, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, str. 83 + 5.

Nowy tomik Timofiejewa jest zewnętrznym mało efektownym: składające się nań utwory budowane są wyłączenie z regularnych strof czterowierszowych, a jeżeli chodzi o rytmikę, przeważa wśród nich dość katarzynkowy dziećciozłogłowski. W ogóle dla amatora wyrafinowanych smaczków literackich i „wszelkiej sztuki chytrej” nie ma w tej książce nic ciekawego.

Poezja Timofiejewa jest poezją „okolicznościową”. Termin ten używany jest zazwyczaj na określenie utworów pisanych specjalnie na jakąś rocznicę, uroczystość itp. Sądze jednak, że można go rozszerzyć i obciąć nim wszelką poezję, powstającą jako bezpośredni rezultat jakiegoś impulsu zewnętrznego. Oszczędność wyrazu posunięta aż do szarżyzny wersyfikacyjnej i rytmicznej świadczy najlepiej, że dla poety najważniejszym było zamknięcie w utworze poetycki jakiegoś ważnego dlań przeżycia, a nie troska o samo dzieło. Czy takie liryczne pamiętnikarstwo nie stwarza dla poety poważnych niebezpieczeństw, czy nie staje się pokusą do wszelkiej łatwizny i banałności — to już kwestia inna. W wypadku Timofiejewa stwierdzić należy, że wyszedł on z próby na ogół zwycięsko, aczkolwiek sporo jest w zbiorze wierszy zabójczo poprawnych. Od banału ratowały autora w danym wypadku po części same tematy (konspiracja, obóz, powrót z niewoli), ale przede wszystkim jego subtelna dyskrepcja poetycka, niechęćna wszelkiemu tandetnemu efekciarstwu.

„Zwykły kłos małe dziecko zaoszczędziło w rączce — jak od wielkiego blasku ciche oczy mrużąc”, — oto pierwsze zdanie „Wysokiego płomienia”. Ta formacja wytrzymalna jest w całym zbiorze. Metafora dla Timofiejewa jest istotnie środkiem a nie celem, to też nie ma w jego wierszach tego specyficznego baroku awangardowy zabracającego przedmiot w natłoku zawyżonych omówień i aluzji. Timofiejew naprawdę używa metaforę po to, by za jej pomocą przybliżyć czytelnikowi opisywany przedmiot czy fakt. Oto np. wizja obozu w Gusem, gdzie więźniowie pracowali jako robotnicy w kamieniołomach:

Na kamieniu rośnie kamień.
Cały obóz skamieniały.
I na próżno szarpiesz ręce —
Świat zamknęły ciężkie skały.

Albo następujący fragment:

A i skądżeś to, koleżko,
do obozu przywędrowałeś?
Trupie dymy biegna ścieżką
do niebieskich, jasnych powal.
Wszystkie myśli i nadzieje
idą śladem, pachną cerpko...

Efekt nieprzeciętny, choć wydobytu środkami poetyckimi „staroświeckimi” przy zupełnym uniknięciu patetyczności i wszelkich jaskrawizn.

Poezja Timofiejewa przywodzi na myśl i Stońskiego, i Staffa, i Lenartowicza. Jakże znajoma wydaje się taka np. strofa:

I dzień gaśnie w poblaskach zorzy.
Słońce głowę pochyla w dół,
jakby żołnierz, który położył
krwawą skroń u rodzimych pól.

Aczkolwiek stosując stale tę samą poetykę radzi sobie Timofiejew z tematami i konspiracyjnymi i obozowymi, to jednak najlepiej wypada trzeci cykl tomu „Jeden dzień”, zawierający wiersze pisane po opuszczeniu obozu. Nastroj, radość, szczęście powrotu do normalnego życia nasycają te strofy niezwykłą świeżością, nadają im powab naturalnej swobody. Cały ten cykl jest poetyckim przewyciężeniem nastrojów okupacyjnych i wojennych. Ta poezja nie jest już tylko celem niedawnych makabrycznych przeżyć, odrywa się od nich, zwiastuje nowy dzień.

Zbiorek Timofiejewa, aczkolwiek nie będący rewelacją, jest pozycją o poważnym znaczeniu, ale trudno po jego przeczytaniu nie powiedzieć sobie: do raju sztuka. Jeżeli poeta zechce kontynuować ten typ pisarstwa, jaki zareprezentował w „Wysokim płomieniu” — musi znów starać się o przeżycie jakiejś wojny czy innej równie doniosłej historii. Wtedy tylko bowiem „liryczny pamiętnik duszy” udaje się poetycko, kiedy dusza jednostki przeżywa stany o ważności ogólnej, powszechnej. W innym wypadku czyha na takich poetyckich pamiętnikarzy liryczny egotyzm. Drugie niebezpieczeństwo polega na tym, że kiedy poeta wzrusza nas efektami czepnymi z mozo już utrwalonej tradycji poetyckiej, może łatwo przekroczyć te granice, za którą stylizacja dawnych motywów i „chwytów” przechodzi w ich naśladowanie.

Jan Maria Głog: Wzleń i chłop, poezje, nakładem Kieleckiego Klubu Literackiego, Kielce, 1946, str. 37 + 3.

Tomik Głogsa zaczyna się bardzo interesującą próbą noweli poetyckiej o porwaniu ze szpitala rannego konspiratora. Ciekawy pomysł zepsuły autorowi ortodoksyjna awangardowość, narzucająca konieczność budowania piętnowych omówień i metafor nawet wtedy, gdy zwykłe nazwanie rzeczy po imieniu byłoby najlepszym rozwiązaniem sprawy, oraz nieszczęsny zwyczaj dodawania do epickiej narracji lirycznego komentarza przeważnie w formie patetycznych a banałnych apostrof.

Prób tego rodzaju już niestety poeta później nie podejmuje i poprzestaje na mniej lub

więcej udatnym lirycznym „przybosiowaniem”. Rozpacz naprawdę ogarnia, gdy się widzi, jak wszystko, co u mistrza było nowością, wynalazkiem, u uczniów staje się oledrukowaną reprodukcją, sztampą, banałem. Przeczytałem już tyle wierszy pisanych w ostatnich trzech dziesięcioleciach, że trudno mi czymkolwiek zadziwić, ale jednak w żaden sposób nie mogę pojąć, dlaczego np. ktoś musi pisać: „Wbijam nogi wspomnień w bieżnię przeszłych lat” lub:

W twoje życie wparł się płaskorzębą
zerwany z życia latem liść —
człowiek
wycofany z obiegu.

Czy naprawdę te wszystkie stylowe i myślowe wygibaszy są autorowi potrzebne na coś więcej niż na zaspokojenie snobizmu „awangardowości”? Zresztą i w mniej awangardowych wierszach Głogsa napotykalmy bardzo niepokojące szarady jak np.

Padają krople —
strzygi
sprzed tysiąca lat —
...bladłocice
trupienice
czarownicy
grad.

Pomieważ zagadkowy ten fragment jest częścią wiersza „Wieczór pod Łysicą”, możemy się od biedy domyśleć, że zawiera on jakąś aluzję do łysogórskich sabatów czarownic. Jeszcze do dwadzieścia lat takiego awangardyzowania, a wszyscy czytelnicy poezji staną się jeżeli nie Sherlockami Holmesami, to w każdym bądź razie specjalistami od odczytywania szyfrów.

Niepodobna oprzeć się wrażeniu, że wiersze tego typu inspirację mają wyłącznie w remi-niscencjach z lektury. Literatura natchniona przez literaturę, literatura do kwadratu. Któż to powiedział: „Literatura — ta papierowa reszta życia”?

Kazimierz Sosnowski

BITWA POD GDOWEM

W setną rocznicę zniknięcia ostatniego skrawka wolnej Polski

Powstania polskie kierowały się zasadniczo przeciw Rosji carskiej, jako zaborczyni największej części ziem Rzeczypospolitej, przeciw Niemcom zaś kierowały się tylko pośrednio. Wyjątkiem było tzw. galicyjskie lub krakowskie powstanie z r. 1846, które zwrócone było przeciw Niemcom i obejmowało miało Królestwo Poznańskie i Galicję, zaś Królestwo Polskie postawione było na dalszym planie. Myśl wzniesienia tego powstania wyszła z kół emigrantów polskich we Francji, z radykałami i rewolucyjnie usposobionymi ich „Towarzystwa Demokratycznego”, na wodza upatrzony był Ludwik Mierosławski, a w kraju działali wysłannicy-emisarjusz. Ośrodkiem spisku stał się Kraków, jako ostatni, niepodległy rzekomo strzęp Rzeczypospolitej, gdzie w styczniu 1846 utworzono Rząd Narodowy, w którym główną rolę odegrał późniejszy kilkudniowy dyktator Jan Tyssowski i Edward Dembowski niedościgły agitator i skrajny radykał, choć z pochodzenia arystokrata.

Ideologiczne podłoże powstania było zbliżone do Kościuszkowskiego, szło jednak od niego daleko głębiej, bo powołując pod broń też wszystkie warstwy narodu, obiecywało w zamian tak daleko idące reformy społeczne, rolne i różne korzyści materialne, jakie w czasach Kościuszki mogły uchodzić za nieziszczalne. Otwarcie jednak przyznać trzeba, że militarna, finansowa, organizacyjna i agitacyjna strona zamierzonego powstania nie była należycie przemyślana i przygotowana; powstanie z góry było skazane na łatwe złamanie przez wroga.

Choć Dembowski dwój się i trój jako agitator, pełen wiary w popiółstwo miejskie i chłopów, choć wciągnął w spisek powstańców Wieliczkę, częścicowo Gdów, Bochnię, nie zdołał przeleć chłopów galicyjskich zawrócić z drogi, na którą pociągnął ich zbrodniczy rząd austriacki, który postanowił wyzyskać nienawiść społeczną chłopów do szlachty i powstanie polskie stłumić rękami Polaków samych. Rozpojeni i przekupieni agitatorzy z hasłem „Bóg i cesarz”, przeciągali na stronę austriacką chłopów, którzy nic nie wiedzieli o Rządzie Narodowym w Krakowie i jego najlepszych względem nich zamiarach i którzy już od r. 1835 wstępowali do tajnego „Stowarzyszenia ludu polskiego”, mającego na celu usamowolnienie jego, a w dalszym ciągu ogólne narodowe powstanie.

Termin wybuchu powstania, wyznaczony przez rząd Tyssowskiego na noc 20 lutego był publicznie tajemnicą, to też władza pruskie znacznie wcześniej uwięziły w Poznańskim Mierosławskiego i wszystkich wybitniejszych członków spisku, zaś dn. 18 lutego zajął Kraków zbrojny generał austriacki Collin, który stał przed tym w pogotowiu na Podgórzu. Z powstańcami przyszło tylko do małosnaczącej utarczki, gdy jednak z Krzeszowic, Jaworzna i Chrzanowa nadeszły wiadomości o poturbowaniu wysłannych tamże oddziałów austriackich, lekliwy Collin stracił głowę i po czterech dniach wycofał się chyłkiem z miasta w stronę Wadowic. Stracił głowę także rząd powstańczy i nie wiedząc, co dalej począć wszczynął swary, nawet walki ze zwoleńnikami stronnictwa umiarkowanych. Nie stracił głowy tylko śmiały austriacki major L. Benedek, nazywany potem przez Niemców „sokołem galicyjskim” (der Falke von Galizien), choć ostał się sam w Bochni na czele 800 żołnierzy. Postanowił działać na własną rękę i dołączywszy do swego oddziału kilkuset zrebellizowanych chłopów, ruszył z Bochni na Gdów, gdzie natknął się na siły powstańcze.

Tyssowski bowiem na wieść o odciętych w Bochni Austriakach, postanowił ich tam zaskoczyć i wysłał dowódcę Siedmigródzkiego z oddziałem 760 licho zbójnych ludzi na zdobycie Bochni. Dn. 26 lutego zajął ten oddział Gdów. Był to ostatni triumf re-

wolucji, bo tu napadł powstańców działający zaczepnie Benedek i zadał im drugoczącą klęskę. Pierwsza pierzcha jazda powstańcza, piechota stawiała opór i broniła się z domów miasteczka, lecz główne starcie odbyło się koło cmentarza, z której to strony zaszły powstańcom drogę chłopskie oddziały Benedeka i dokończyły dzieła rozbicia powstańców. Legło ich na placu boju przeszło 150, głównie rzemieślników i studentów z Krakowa, oraz górników z Wieliczki, wraz z dowódcą Mich. Rottermundem.

Bitwa pod Gdowem jest najważniejszym wydarzeniem galicyjskiej rewolucji z r. 1846, a przypomina wielce przebieg bitwy powstańczej z r. 1863 w Miechowie, bo i tu i tam zginął kwiat młodzieży krakowskiej, to też nazwy Gdów i Miechów były dla Krakowa przez długie czasy nazwami pełnymi grozy.

Dla tych, którzy dla „rabacji” z 46 r. mają tylko słowa potępienia, warto tu dodać, że między powstańcami polskimi pod Gdowem walczyli prócz mieszkańców miasta, także i chłop polakrakoński. Ważne to dla osądzenia rebelii chłopskiej. Może pierwszy raz w dziejach stanęli tu naprzeciw siebie jako przeciwnicy polscy chłop, jedni powołani w szeregi głosem rodaków, drudzy szatańskimi podszeptami wroga.

W 60 lat po bitwie usypało miasteczko Gdów na swym cmentarzu spory kołec na mogile poległych obrońców wolności, w której prócz 150 bohaterów pogrzebana została także wolność matej „Rzeczypospolitej Krakowskiej”.

Dalsze wypadki potoczyły się bowiem błyskawicznie szybko. Benedek zajął nazajutrz Wieliczkę, która przez swój chwalebny udział w tym powstaniu zmyła z siebie starą plamę z 14 w. za popieranie buntu Niemca Alberta przeciw Piastowi Łokietkowi, Collin poddyktował Krakowowi warunki poddania się, zajął miasto bezkrwawo, rząd powstańczy uszedł, Dembowski poległ, do miasta wkroczyło też wojsko rosyjskie i pruskie. Cała rewolucja krakowska trwała dwa tygodnie od 18 lutego do 4 marca, zaś dn. 6 listopada 1846 Kraków jako „gniazdo spisków” z okregiem swoim został pozbawiony wolności i wcielony do Austrii. Tak przed 100 laty zniknął z karty Europy ostatni strzęp wolnej Polski. Powstanie nie udało się na całej linii, ale mimo to miało wysokie moralne znaczenie jako jedno z ogniw nieustannego protestu przeciw niewoli i przez swe hasła głoszące bezwzględna równość człowieka i narodów, w czym o dwa lata wyprzedziło głos Europy, wysuwający je podczas „wiosny ludów”. Czy zaś „rabacja” i udział chłopów po stronie wroga przeciw powstaniu są hańbiącą kartą z historii naszego narodu — to kwestia dawno przesądzona. Uczynił to w „Chorale” współczesny wydarzeniu Kornel Ujejski:

„Ależ o Panie, oni niewinni,
Choć naszą przeszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O, rękę karaj, nie ślepy miecz!”

Uczyniła to rodzina Zelenkich w Grodkowicach, kładąc na pomniku zabitego wtedy przodka napis: „Odpuść im Panie, bo nie wiedzą co czynią”; powiedział przez usta Tetmajera Wyspiański w Weselu: „Myśmy wszystko zapomnieli! — To nie hańbiąca, to tylko tragiczna karta w dziejach przemocą pozbawionego wolności narodu.”

Zmienić zaś trzeba pogląd inny, Austriakiem był poprzednik Hitlera, tępiciel polskości, cesarz Józef II, Austriakiem byli ci „inni szatani” z 46 r., Austriakiem był Hitler, austriackie dywizje runęły pierwszą na jego rozkaz, by zmieść Polaków z powierzchni ziemi... Czy zakorzenione u nas mniemanie, że Austriacy są dobrodusznym odłamek niemieckiego narodu — nie zasługują na zmianę?

Gzesław Garda

Organizacja powszechnej oświaty rolniczej w Polsce

Sprawa oświaty rolniczej wiąże się ściśle z zagadnieniem wielkiej reformy oświaty w Polsce, poza tym — z reformą rolną, bez której realizacja nowego szkolnictwa rolniczego byłaby nie możliwa. W wielu rezerwach bowiem, powstałych po parcelacji wielkich własności ziemskich, zorganizowano i organizuje się jeszcze szkoły rolnicze.

W porównaniu jednak ze szkolnictwem, mówię ogólnie — miejskim, szkolnictwo rolnicze na wsi cieszy się daleko mniejszą popularnością, nawet u ludzi świadomych przemian historycznych i idących z nimi w parze reform społecznych.

Nic też dziwnego, że dziś jeszcze obserwuje się przesadny pęd ludzi wsi do szkół miejskich i to ogólnokształcących, co w znacznej mierze odbija się na frekwencji w szkołach rolniczych. A właśnie dziś, w dobie propagowania hasła Polski jako państwa przemysłowo-rolniczego, czy nawet jak pragnie min. Kwiatkowski — przemysłowo-morskiego, podniesienie kultury rolnej na naszych obszarach rolniczych staje się sprawą szczególnie wielkiej wagi.

Nie możemy zapomnieć, że kraje zachodnio-europejskie mają zbiory żyta z hektara dwakroć i więcej wyższe niż my (podobnie też się dzieje z uprawą innych zbóż i roślin).

Ambicją też naszą musi być nie tylko dotrzymanie kroku państwu przodującym w Europie przemysłowo, ale nadążanie również za postępem w kulturze rolnej. To ostatnie będziemy mogli osiągnąć przez racjonalną organizację powszechnej oświaty rolniczej, którą w obecnej chwili reprezentują gminne szkoły rolnicze.

Celem dzisiejszego mojego artykułu będzie możliwie zwięzłe omówienie założeń i organizacji powszechnej oświaty rolniczej w naszym państwie. Nadmienić muszę, że opieram się na wynikach konferencji wyciatorów szkół rolniczych, zorganizowanej przez Departament Oświaty Rolniczej Min. Rolnictwa i R. R. w czasie wakacji w Sopocie.

ZAŁOŻENIE POWSZECHNEJ OŚWIATY ROLNICZEJ

Oświata rolnicza ma mieć charakter powszechny i obejmować będzie młodzież wiejską w granicach 15 — 18 lat życia. W związku z tym, podobnie jak w innych zawodach, przewiduje się wprowadzenie przymusu kształcenia zawodowego. Ludzie pragnący prowadzić samodzielnie własne gospodarstwa rolne, muszą — podobnie jak rzemieślnicy — wykazać się dostatecznymi umiejętnościami swego zawodu. Szkoła też powszechna rolnicza, nazwana w tej chwili gminną ma dawać minimum kwalifikacji do wykonywania zawodu rolnika, przy czym uwzględniać się będzie podstawy ogólnokształcące i wychowanie społeczno-obywatelskie w duchu demokratycznym.

STRUKTURA I ORGANIZACJA POWSZECHNEJ OŚWIATY ROLNICZEJ

Podbudowę powszechnej szkoły rolniczej będzie stanowiła 8-letnia szkoła powszechna ogólnokształcąca. Po skończeniu szkoły rolniczej, absolwent, o ile zechce, będzie mógł przejść do liceum (do klasy III), a później na studia wyższe.

Pięciora organizacja szkolnictwa rolniczego wyglądać ma następująco:

- 8-letnia szkoła powszechna (ogólnokształcąca);
- średnia powszechna szkoła rolnicza (gminna);
- liceum rolnicze;
- wyższe zakłady kształcenia.

Realizacja takiej struktury jest jednak sprawą lat przyszłych.

Obecnie wkroczyliśmy w tak zwany okres przejściowy, w którym organizacja pionowa szkolnictwa rolniczego przedstawia się następująco:

- a) gminne szkoły rolnicze — albo b) przysposobienie rolnicze na podbudowie dotychczasowej pełnej lub niepełnej szkoły powszechnej ogólnokształcącej.
- a) szkoły powiatowe (internatowe), b) gimnazjum rolnicze (3-letnie), c) gimnazjum rolnicze dla dorosłych (2-letnie).
- liceum rolnicze (3-letnie) liceum dla dorosłych (2-letnie).
- wyższe szkoły rolnicze — typu akademickiego i nieakademickiego.

Zatrzymam się na interesującej nas gminnej szkole rolniczej. System nauczania w niej obejmuje:

- nauczanie szkolne;
- zadania praktyczne wykonywane w gospodarstwie szkolnym i rodzicielskim;

c) praktykowanie w gospodarstwie rodzicielskim. Podkreślić należy, że kierunek nauczania przystosowany jest do potrzeb gospodarczych danej gminy.

Nauczanie w szkole odbywa się przez dwie zimy (po 6 miesięcy), latem zaś nauczyciele prowadzą prace z uczniami w gospodarstwach rodzicielskich.

Przewiduje się normalnie po jednej szkole męskiej i po jednej żeńskiej na każdą gminę. Ze względu na trudności w uzyskaniu tytułu ośrodków szkolnych, jak i na brak personelu nauczycielskiego, tam gdzie warunki pozwalają na to, szkoły się komasuje, nadając im charakter szkół koedukacyjnych.

Nadmienić jeszcze trzeba, że na szkołach gminnych ciąży również obowiązek przysposobienia rolniczego (P. R.) które tym tylko się różni od szkoły gminnej, że nauczanie teoretyczne odbywa się na drodze samokształceniowej kontrolowanej przez nauczycieli.

Jak widać z powyższego, powszechna szkoła rolnicza wiąże się ściśle z praktyczną stroną życia rolniczego, na której też najżybciej, w porównaniu z wszelkimi innymi szkołami, może oddziaływać. I tutaj zarysowuje się niezwykle odpowiedzialna, picnierska rola powszechnej szkoły rolniczej.

Dla lepszego zobrazowania jak się przedstawia to szkolnictwo w świetle cyfr, przytoczę — z braku innych — dane liczo-

we, odnoszące się do wojew. łódzkiego w okresie minionego roku szkolnego.

Czynnych było 50 szkół*), które mogły przeszkolić rocznie około 2.500 uczniów, co stanowi nieco więcej niż 10% zapotrzebowania, bo w województwie łódzkim w ciągu roku około 10.000 młodych rolników otrzymuje gospodarstwa, biorąc zaś pod uwagę tyleż potrzebnych gospodyń, okazuje się, że rocznie w szkołach rolniczych winno się przeszkolić 20.000 osób, (przed wojną czynnych było w województwie szkół siedem, które mogły przeszkolić rocznie około 350 uczniów).

Aby ten obowiązek wypełnić, potrzeba by 200 ośrodków szkolnych (licząc 100 uczniów rocznie na każdy). Do tej zaś liczby szkół należałoby zatrudnić 1.500 sił nauczycielskich, tymczasem w ubiegłym roku było zatrudnionych niespełna 300 osób i to nie mających często pełnych kwalifikacji nauczycielskich. Sytuacja na nadchodzący rok szkolny (zaczyna się w szkołach gminnych 15 października) wygląda pod tym względem nie wiele lepiej.

Sądzę, że to wszystko o czym napisałem dzisiaj przekonywuje, że powszechna oświata rolnicza wiąże się z różnorodną i rozległą problematyką, którą też nie sposób wyczerpać w ramach jednego artykułu.

*) Nie uwzględniono w tej liczbie szkół rolniczych, należących do Min. Oświaty. Szkół tych, łącznie ze średnimi, na terenie woj. łódzkiego jest 14.

Stanisław Paleczny

Twórczość samorodna

W wieczór

*Splonął wieczornym ogniem słoneczny zachód,
Krwie wielkie strugi zalały świat potopem,
Szum żyta ustał, cisza, mkną głozy w parów,
A wieczór płynąc pot ściera z czoła chłopom.*

*Oplotków kółki, na których wiatr se gwizda
Melodję zmarłych, zamkły swoich strun głośnik,
A tam za wioską w polu trześniowa ciżba
Jeszcze w swój owoc wróble zaprasza w gości.*

*Wierzby przy drodze, tak niby w defiladzie
Stoją, a zachód poważnie wśród nich kroczy,
W pobliskim stawie chór żab wnet w pełnym składzie
Wystąpi. Wieczór. Księżyc w obłoku spoczął.*

LISTY DO REDAKCJI

Ob. Poset

Jan Aleksander Król, redaktor „Wsi” w Łodzi, Piotrkowska 96

Z polecenia Ob. Ministra informujemy, że pobyty pracowników Agencji Pocztowej w Nagłowicach, przedstawia się jak następuje: Kierowniczka Agencji Helena Pawlikowska (8 grupa uposażenia) — 2.800 zł, posłaniec Antoni Mularczyk (10 grupa uposażenia) — 2.400 zł oraz kontr. pracownik umysłowy Maria Poniądziak (12 grupa uposażenia) — 2.000 zł miesięcznie, wreszcie listonosz wiejski Treter Lucjan (12 grupa uposażenia) — 2.000 zł miesięcznie.

Wynika z tego, że pobyty czterech pracowników w agencji Nagłowice wynoszą miesięcznie 9.200 zł, a nie 5.000 zł, jak to podano w Nrze 37 „Wsi”.

Ponadto pracownicy otrzymują po 10 zł dziennie tytułem „stołówki” oraz po 200 zł miesięcznie na każdego członka rodziny w wypadku posiadania rodziny, wreszcie kierowniczka Agencji otrzymuje 150 zł miesięcznie tytułem ryczałtu kancelaryjnego.

Agencja jest deficytowa, atoli w interesie dzwigania Kultury wsi placówka ta nie będzie zwiniała.

DYREKTOR GABINETU

L. Świerczewska

*

Sprostowanie Ministerstwa Poczty i Telegrafów zamieszczamy lojalnie na łamach naszego pisma. Równocześnie jednak stwierdzam, że odnosi się ono jedynie do drobnego szczegółu, wspomnianego w artykule moim mimochodem. Nie jest bowiem rzeczą ważną czy urzędniczy agencji pocztowych otrzymują miesięcznie tyle a tyle złotych, czy też nieco więcej, ale ważne jest, że pobyty te są nie wystarczające dla zapewnienia choćby najniższego minimum egzystencji. Sprawa wysokości poborów urzędników pocztowych (tak samo zresztą jak i poborów nauczycielstwa wiejskiego) poruszana była na łamach „Wsi” bynajmniej nie po to, by psuć krew urzędnikom w „odnośnych” ministerstwach, ale jedynie jako jeden z argumentów w walce o poprawę sytuacji ekonomicznej wszystkich pracowników państwowych, działających na odcinkach szczególnie ważnych dla podniesienia kulturalnego wsi polskiej.

Przyczyny tej złej sytuacji ekonomicznej — jak wskazywałem — leżą poza ministerstwami i poza nimi również istnieje źródła poprawy

tego stanu. Nawiasem muszę ja z kolei sprostować: Sumy, które wymienia ministerstwo pochodzą z późnej dokonanej podwyżki plac, ja notowałem wiernie pensje w przededniu tej podwyżki.

J. A. Król

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie chciałbym się stroić w cudze piórka, dlatego uprzejmie proszę o łaskawe umieszczenie poniższych wyjaśnień.

Za swego kilkuletniego pobytu w Warszawie, prof. Juliusz Beneszić, ten jakże zasłużony „ambasador kultury polskiej w Jugosławii”, zwrócił się do p. Antoniego Bogusławskiego i do mnie z prośbą o przekład na język polski szeregu poematów serbskich i chorwackich. Jakoż Bogusławski przełożył (znakomicie!) kilka rzeczy, ja również; m. in. przetłumaczyłem olbrzymi poemat Gundulicia pt.: „Osman”, napisany ku czci Polski. — Razem zaś Bogusławski i ja przełożyliśmy duży tom ludowych pieśni jugosłowiańskich.

W zeszłym roku zwrócono się do mnie, żebym napisał dłuższy odczyt o ludowej poezji jugosłowiańskiej, gesto ilustrowany przekładami. Rzecz tę napisałem, lecz odczyt nie doszedł do skutku. Częściowo został on wykorzystany w audycji radiowej, po czym cały maszynopis przesłałem Redakcji „Wsi”. Ponieważ było to za długie, by mogło być drukowane w całości, Redakcja rozbiła maszynopis na odcinki (z których jeden ukazał się w nr. 39, drugi w nr. 68), oraz poczyniła pewne skróty w moim tekście. M. in. odpadło i moje wyjaśnienie, że z przytoczonych przekładów niektóre są pióra Antoniego Bogusławskiego, reszta zaś — mego pióra. To też czytelnik umieszczonych we „Wsi” dwóch wspomnianych odcinków mego pierwotnego odczytu musi odnieść nieprawdziwe wrażenie, iż autorem wszystkich przekładów jestem ja. Zależy mi bardzo na skorygowaniu tego.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

Kurs TUL-u

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej organizuje drugi kurs dla kandydatów na pracowników wychowawców uniwersytetów ludowych.

Zadaniem tego kursu będzie wprowadzenie przyszłych wychowawców uniwersytetów ludowych do zagadnień programowych wychowawczych i metodycznych, jakie stosuje się w tego rodzaju zakładach.

Rozrost sieci uniwersytetów ludowych nie idzie w parze z przyrostem nowych sił wychowawczych. Uniwersytety ludowe nie mają dostatecznej obsady wychowawczej tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym. Chociażby doraźnie temu zapobiec ma właśnie najbliższy kurs.

Kurs rozpocznie się 15 grudnia b. r. i będzie rozłożony na 3 etapy:

I. 15. XII. — 22. XII. 1946 r. — konferencja wstępna, wprowadzająca ogólnie uczestników do spraw związanych z uniwersytetami ludowymi.

II. 2. I. — 30. I. 1947 r. — uczestnictwo kandydatów w pracach czynnych uniwersytetów ludowych.

III. 1. II. — 31. III. 1947 r. — kurs właściwy.

Udział w kursie może wziąć każdy, kto pragnie całkowicie poświęcić się pracy wychowawczej w uniwersytetach ludowych, ma ku temu potrzebne wykształcenie ogólne, przynajmniej średnie, chociażby samokształceniem zdobyte, a jest ideowo związany ze środowiskiem wiejskim i jego ruchem społeczno-kulturalnym.

W związku z ewentualnym zgłoszeniem się na kurs nauczycielstwa szkół średnich i powszechnych T. U. L. R. P. poczyni starania w Ministerstwie Oświaty o udzielenie urlopów. Niezależnie od tego zainteresowani winni wnieść podania o urlop drogą służbową.

Koszty utrzymania na kursie pokryje T. U. L. R. P.

Podania kandydatów należy kierować do Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej, Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8, załączając:

- życiorys własny kandydata,
- zaświadczenie organizacji społecznej, z którą kandydat pozostaje w najbliższym związku (Z. M. W. R. P. „Wici”; Z. S. CH., Z. N. P. i t. p.),
- zobowiązanie kandydata do pracy w uniwersytecie ludowym po ukończeniu kursu.

W OSTATNIM 42 (70) NUMERZE „Wsi” z dnia 27 października 1946:

Maciej Czula — Ks. Stanisław Stojalowski, Piotr Ozarowski — O monografie ziem; Piotr St. Ziarnik — Wiersze, Jan Marszałek — Zadania inteligencji wiejskiej; Stanisław Pietak — Partyzant i dziewczyna (II); Teodor Goździ-kiewicz — „Rysa”; Bartłomiej Bigorański — Teatr ludowy na przelomie; Z. K. — Konkurs na ludowy utwór sceniczny; 3 ilustracje, 8 stron.

KSIAŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

Wydawnictwa Państwowego Instytutu Wydawniczego

Stanisław Grabski — Na nowej drodze dźwiękowej, str. 98.

Józef Sieradzki — O szkołę w nowej demokracji, str. 32.

Roman Szewczyk — Mord na zamku Lubelskim, str. 52 + 8 nłb.

Wydawnictwo Kasprowa Wojnara, Poznań 1946.

Dr. Emil Godlewski: Pogadanka o pokarmach roślinnych i sztucznych nawozach, wyd. III, str. 119, cena zł. 160.—.

Wydawnictwa inne

Jan Maria Gisztes — Wzięcie i chłop, str. 37

Tadeusz Jezdzalik — Arkusz poetycki, str. 16

Kazimierz Paszkowski — RAF contra Luftwaffe, str. 191, „Księgarnia Polska” — Łódź, 1946.

Adam Mielkiewicz — Dziady, str. 40, Ludowy Instytut Oświaty i Kultury, Warszawa, 1946

Piotr Greniuk i Marien Młkuta — Hej koleś, koleś, str. 87, Wydział Oświaty Rolniczej, Łódź 1946.

Prenumerata „Wsi” wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. Komitet redakcyjny: Kukułski Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pietak Stanisław. Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2, D—06425